

ALFRED HITCHCOCK

**TAJEMNICA
SZALONEGO DEMONA**

PRZYGODY TRZECH DETEKTYWÓW

(Przełożyła: IWONA ŻÓŁTOWSKA)

Słowo wstępne Alfreda Hitchcocka

Witajcie, miłośnicy zagadek kryminalnych!

Znów mam przyjemność opowiedzieć Wam o przygodach sprytnych Chłopców znanych jako Trzej Detektywi. Tym razem przyszło im odkryć sekrety barbarzyńskich koczowników z epoki Czyngis-chana oraz machinacje współczesnych nam przebiegłych złodziei. Rzadko słyszy się relacje dotyczące wydarzeń tak głęboko osadzonych w historii. To wyjątkowo emocjonująca i tajemnicza opowieść. Pojawi się na jej kartach budzący grozę Szalony Demon. Wiercie mi, na samą myśl o tym monstrum włos jeży się na głowie.

Wybaczcie, trochę się zagalopowałem. Czas przedstawić bohaterów książki. Jupiter Jones, zwany Pierwszym Detektywem, to pyzaty i korpulentny chłopak o wielkiej inteligencji. Z uporem dąży do wyjaśnienia każdej sprawy, choćby to było niebezpieczne. Pete Crenshaw, postawny i barczysty Drugi Detektyw, nie pochwała brawury, ale gdy przyjdzie co do czego, koledzy zawsze mogą liczyć na jego pomoc. Bob Andrews jest spokojny i cichy; jego działka to archiwum i zbieranie dokumentacji. Radzi sobie z tym doskonale. Cała trójka mieszka w miasteczku Rocky Beach niedaleko Hollywoodu, w Kalifornii. Mają tajną Kwaterę Główną... Nie zdradzę teraz żadnych szczegółów. Wkrótce się dowiecie, jak to miejsce wygląda. Dodam tylko, że dzięki tak odmiennym uzdolnieniom trzech chłopcy rozwiązali wspólnie sporo niezwykłych zagadek kryminalnych.

Jeśli starczy Wam odwagi, by spojrzeć prosto w twarz Szalonemu Demonowi, rozpocznijcie lekturę pierwszego rozdziału.

Alfred Hitchcock

ROZDZIAŁ 1

Fruwająca lalka

- Jesteście detektywami - oznajmiła z powagą rudowłosa dziewczynka. - Na pewno potraficie odnaleźć Anastazję! Chcę was wynająć! - Otworzyła brudną piąstkę, w której zaciskała monetę o nominale pięćdziesięciu centów.

- Nie zajmujemy się szukaniem lalek - Pete Crenshaw wybuchnął śmiechem.

- Przyjmujemy znacznie poważniejsze zlecenia, Winifredo - wyjaśnił z powagą Jupiter Jones.

- Nie martw się - Bob Andrews z uśmiechem pocieszył sześciolletnią dziewczynkę. - Jestem pewny, że zostawiłaś swoją lalkę w domu.

- Na pewno - Pete znowu parsknął śmiechem. - Wracaj do siebie, Winnie, i dobrze poszukaj. Idziemy, chłopaki. Muszę zanieść projektor filmowy taty do naprawy.

Trójka przyjaciół, znanych w kalifornijskim miasteczku Rocky Beach jako Trzej Detektywi, spędziła pierwszy dzień wiosennych ferii na porządkowaniu garażu państwa Crenshawów. Właśnie skończyli i mieli zabrać do warsztatu zepsuty projektor filmowy, gdy nagle mała Winifreda Dalton przecisnęła się między wysokimi krzakami żywopłotu i przybiegła z prośbą o pomoc.

- Przykro nam, że zgubiłaś lalkę - dodał Pete - ale nie mamy czasu. Mój tata prosił, żebyśmy jak najszybciej zanieśli projektor do naprawy. Musimy już iść, Winnie.

- Nieprawda! Wcale nie zgubiłam Anastazji! - Winnie uderzyła w płacz. - Moja lalka odleciała. Była na podwórku. Położyłam ją na noc do łóżeczka, a ona pofrunęła!

- Naprawdę? - Jupiter mrugnął porozumiewawczo do dziewczynki.

- Przestań zmyślać, Winnie - wpadł mu w słowo Pete. - Opowiadasz głodne kawałki! Na nas już czas. Chyba nie chcesz, żeby mój tata wpadł w złość.

- Nie odparła niepewnie dziewczynka i rozszlochała się znowu. - Tak mi żal Anastazji!

- O rany! Przestań ryczeć, Winnie - mruknął Bob. - Na pewno znajdziesz?...

- Co miałaś na myśli mówiąc, że Anastazja odfrunęła? - wypytywał Jupiter, marszcząc brwi.

- Tak było! - odparła Winnie, wycierając załzawione oczy. - Zostawiłam ją w łóżeczku na świeżym powietrzu i poszłam do domu. Nim położyłam się spać, stanęłam w oknie, żeby na nią popatrzeć. Zobaczyłam, jak Anastazja wraz z łóżkiem leci w stronę

drzewa! Mój tata szukał jej dziś rano, ale zniknęła! Pewnie już nie wróci do domu!

- Ciekawe - mruknął Jupiter. - Sądzę, że moglibyśmy się trochę rozejrzeć.

- Musimy odnieść projektor do naprawy - jęknął rozpaczliwie Pete.

- Stary, coś tu nie gra. Przecież lalki nie fruują - mruknął do Jupitera zaciekawiony

Bob.

- Racja - odparł puciołowaty detektyw, z roztargnieniem spoglądając na przyjaciół. -

Właśnie dlatego trzeba się przyjrzeć temu drzewu. To nam zajmie jedynie chwilę.

Winifreda przestała rozpaczać i uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Zaprowadzę was!

Chłopcy przecisnęli się w ślad za nią między krzewami żywopłotu. Feralne drzewo okazało się wspaniałym okazem awokado. Rosło tuż za płotem odgradzającym posesję od ulicy. Mocne gałęzie zwisały nisko, ocieniając część podwórka Daltonów. Winifreda wskazała murawę pod wielkim konarem.

- Anastazja spała tutaj!

Chłopcy wypatrywali czegoś wśród skórzastych liści i ciemnozielonych owoców zwisających z gałęzi. Rozgarnęli nogami liście leżące na ziemi.

- Nie zauważyłem lalki na drzewie - oznajmił Pete.

- Na ziemi też nie ma po niej śladu - dodał Bob.

Jupiter wyszedł na ulicę. Drzewo awokado wyrastało z wąskiego klombu biegnącego wzdłuż płotu. Jupiter pochylił się, by popatrzeć na miękką ziemię między roślinami.

- Chodźcie tu! - krzyknął do kolegów. Chłopcy ominęli konary drzewa, podeszli do niskiego płotu i wyjrżeli na ulicę. Obok pnia, między kwiatami, widać było cztery niewielkie wyraźne ślady.

- Ktoś się niedawno wspinał po tym drzewie - stwierdził w zamyśleniu Jupiter. - Był to osobnik niewielkiego wzrostu. Nosił tenisówki.

- Na pewno jakiś dzieciak - stwierdził Pete. - Mnóstwo smarkaczy łązi po drzewach.

- Owszem - przytaknął Jupiter. - Nie można jednak wykluczyć, że tajemniczy złodziej wspiął się na drzewo, przeszedł po gałęziach nad płotem i zabrał lalkę.

- Jasne! O zmierzchu mogło się wydawać, że zabawka frunie między konarami!

- Po co ktoś miałby zabrać lalkę tej smarkuli? - rzucił z powątpiewaniem Pete.

Jupe wzruszył ramionami i wrócił do ogrodu. W tej samej chwili z domu wyszła rudowłosa kobieta. Była ładną podobną do Winifredy - tylko znacznie wyższa.

- Winnie? Pete? Co wy tu robicie?

- Oni mi znajdą Anastazję, mamusi - oznajmiła dziewczynka. - Są detektywami.

- Jasne. Całkiem o tym zapomniałam - oznajmiła z uśmiechem pani Dalton, podeszła bliżej i dodała, smutno kiwając głową: - Obawiam się jednak, że Anastazja zniknęła na dobre.

- Czy jest pani całkiem pewna, że lalkę skradziono?

- Początkowo byłam innego zdania - przyznała matka Winnie. - Zmieniłam je, gdy mój mąż przeszukał dokładnie ogród i dom. Zadzwoił także na policję.

- Jak zareagowali?

- Byli okropnie zirytowani. Wczorajszej nocy dokonano na naszej ulicy paru drobnych kradzieży.

- Łupem złodziei padły lalki? - wykrzyknął Jupiter.

- Nie. Zaginęła wiertarka, jakieś narzędzia, mikroskop oraz kilka innych przedmiotów. Nie pamiętam co jeszcze. W każdym razie nic wartościowego. Komendant Reynolds sądzi, że to robota młodocianych złodziejasków.

- Są idioci, którzy sądzą, że kradnąc mają okazję popisać się sprytem i odwagą - mruknął ironicznie Pete.

- Prędzej czy później każdy wpada - dodał Bob.

- Z tego wniosek, że smarkacze kradną drobiazgi dla hecy - mruknął zamyślony Jupiter.

- Ja chcę moją Anastazję! - Winnie znowu się rozszochała.

- Litości - jęknął Pete, zerkając na kolegów. - Chyba musimy poszukać tej lalki. Łatwa robota. Znamy przecież wszystkie dzieciaki w okolicy.

- To bardzo miło z waszej strony, chłopcy - oznajmiła pani Dalton.

- Policjanci są tak zajęci, że nie mają czasu zajmować się drobnymi kradzieżami.

- Muszę wynająć detektywów, mamusiu. Widziałam w telewizji, jak to się robi - wtrąciła z powagą Winnie, podając chłopcom pięćdziesięciocentówkę. - Proszę bardzo.

- Jesteś teraz naszą klientką - oświadczył z powagą Jupiter, biorąc monetę. - Czekaj w domu na raport. Zgoda?

Uradowana dziewczynka pokiwała główką. Chłopcy ruszyli w stronę domu Pete'a. Zastanawiali się, jak rozpocząć dochodzenie. Idąc wolno ku furtce sąsiedniego ogrodu, postanowili najpierw zapytać szkolnych kolegów, czy słyszeli ostatnio jakieś plotki o idiotach, którym przychodzą do głowy durne pomysły. Nagle usłyszeli zza domu głośny krzyk matki Pete'a:

- Wynocha z mojego ogrodu! Ej, ty! Zabieraj się stąd!

- Za mną! - rzucił Pete.

Chłopcy okrążyli dom. Gdy wypadli zza rogu, zobaczyli pikującą w dół osobliwą

postać z czarnymi skrzydłami, która zniknęła w mgnieniu oka za ciemnym płotem! Chłopcy nie wierzyli własnym oczom. Matka Pete'a spoglądała w głąb ogrodu.

- Patrzcie tylko na moje kwiaty - jęczała. - Wszystko podeptane!

Chłopcy ani myśleli oglądać zniszczone klomby. Gapili się na płot, ponad którym przefrunęła tajemnicza postać w czarnej pelerynie podobnej do rozłożystych skrzydeł. Widzieli nieproszonego gościa przez mgnienie oka. Kiedy na moment odwrócił głowę, ujrzeli chudą, drobną twarz z sumiastymi wąsami!

- Widzieliście? - mruknął Pete. - To na pewno nie był mały chłopcem.

Jupiter pobiegł w stronę garażu. Koledzy deptali mu po piętach. Jupiter wskazał ręką miejsce, gdzie zostawili ukryty w czarnym futerale projektor filmowy pana Crenshawa.

- Zniknął! - rzucił dramatycznie Pierwszy Detektyw.

ROZDZIAŁ 2

Jedna zagadka rozwiązana

- Cóż - oznajmił bezradnie Jupiter - trudno powiedzieć, w jakim celu złodziej ukradł ojcu Pete'a projektor filmowy, małej Winnie lalkę, a pozostałym osobom rozmaite drobiazgi.

- Przysadzisty szef agencji detektywistycznej zawiesił głos i dodał ponuro: - Kto wie, czy te przedmioty w ogóle są mu potrzebne?

Pete i Bob spojrzeli wyczekująco na przyjaciela.

- W takim razie dlaczego... - zaczął Bob.

- ... ukradł je właścicielom? - wpadł mu w słowo Pete.

Wiele godzin minęło od chwili, gdy niewysoki mężczyzna w pelerynie zniknął, unosząc projektor filmowy pana Crenshawa. Trzej Detektywi spotkali się po obiedzie w swojej kryjówce. Była to stara przyczepa samochodowa, stojąca za stertą rupieci w ustronnym kącie składu złomu należącego do rodziny Jonesów. Wnętrze było okropnie zagracone; wśród mebli piętrzyły się skoroszyty oraz sprzęt potrzebny młodym detektywom do prowadzenia śledztwa. Trójka przyjaciół doskonale urządziła i zamaskowała swą bazę operacyjną. Właściciele składu, wuj Jupitera Tytus Jones oraz jego żona Matylda, dawno zapomnieli o istnieniu przyczepy. Wiodły do niej tajne przejścia, a peryskop umożliwiał chłopcom dyskretną obserwację terenu. Detektywi zebrali się w Kwaterze Głównej, by przeanalizować fakty dotyczące zagadkowych kradzieży powtarzających się ostatnio na ulicy Pete'a.

Jedno wiedzieli na pewno: nie była to sprawka młodocianych przestępców. Po zniknięciu tajemniczego mężczyzny w pelerynie detektywi obejrzeni ślady złodzieja na klombach pani Crenshaw. Odciski stóp były identyczne z tymi, które znaleźli u Winnie Dalton pod drzewem awokado! Dlaczego przestępca ukradł lalkę i projektor filmowy?

- Może facet jest... - Pete zająknął się, szukając w pamięci trudnego słowa - człowiekiem, co to kradnie pod wpływem nagłego impulsu?

- Kleptomaniem - podpowiedział Bob.

- Nie można tego wykluczyć - przyznał Jupiter - ale nie przekonuje mnie takie rozwiązanie. Kleptomani rzadko grasują po domach i ogrodach. Najczęściej kradną w sklepach oraz innych miejscach publicznych.

- Podsumujmy. Nasz złodziej nie jest kleptomaniem, a zarazem nie przywiązuje chyba większej wagi do ukradzionych przedmiotów - mruknął Bob. - W takim razie po co ryzykuje?

- Moim zdaniem - oznajmił tryumfalnie Jupiter - facet w czarnej pelerynie czegoś

szuka!

Bob i Pete popatrzyli na Pierwszego Detektywa z niedowierzaniem.

Archiwista zabrał głos jako pierwszy.

- Zastanów się, co mówisz, Jupe - przekonywał. - Jak to możliwe, skoro kradnie tak różne przedmioty? Gdyby istotnie chciał odnaleźć jakąś konkretną rzecz, nie zabierałby tych wszystkich rupieci, prawda?

- Może złodziej ma słaby wzrok? - rzucił Pete.

Bob jęknął, spoglądając z politowaniem na Drugiego Detektywa, który lepiej sprawdzał się w akcji niż podczas burzy mózgow.

- Pewnie zgubił okulary i dlatego pomylił lalkę z projektorem filmowym! - rzucił drwiąco.

- Masz rację - zgodził się niechętnie Pete. - Przyjmijmy w takim razie, że nie chodzi o ukradzione przedmioty, tylko o rzeczy w nich schowane. Łobuz wie, czego szuka, ale nie ma pojęcia, w czym to zostało ukryte!

- Rozpracowaliśmy niedawno podobną sprawę - przypomniał Jupiter. - Ta afera jest znacznie bardziej tajemnicza. Jeśli mimo wszystko przyjmujemy, że złodziej ma głowę na karku, automatycznie nasuwa się jeden wniosek: jakaś cecha musi łączyć ukradzione przedmioty. Zastanówmy się, co wspólnego mają ze sobą trofea naszego złodzieja!

- Na przykład projektor filmowy i lalka? - mruknął z powątpiewaniem Bob.

- Moje przypuszczenie wydaje się nieprawdopodobne, ale przyznajcie, że coś w tym jest. Szukajmy elementu wspólnego dla ukradzionych dotychczas przedmiotów. W końcu go odkryjemy.

- To wszystko, co zaginęło? - upewnił się Pete, sięgając po spis leżący na biurku Jupitera. - Lalka Winnie, projektor mego taty oraz przedmioty wymienione na policyjnej liście: wiertarka elektryczna, mikroskop, barometr, piła mechaniczna, narzędzia do polerowania. Wszystko zaginęło na mojej ulicy.

Gdy Pete przeczytał głośno listę, Trzej Detektywi popatrzyli na siebie z nadzieją. Długo panowało milczenie.

- Sporo urządzeń elektrycznych - rzucił w końcu Pete.

- Trochę narzędzi - dodał Bob.

- Tylko jedna zabawka należąca do małej dziewczynki - mruknął Jupiter. Po chwili dodał: - Może kupiono te przedmioty w jednym miejscu?

- Ciekawe gdzie? - Bob pokręcił głową. - Pokaż mi w okolicy sklep, w którym dostaniesz lalkę i barometr.

- Poza tym mój tata kupił projektor filmowy w Nowym Jorku. Ma go od lat - dodał z westchnieniem Pete. - To na nic, Jupe. Nie widzę żadnej wspólnej cechy.

- Coś musi łączyć te wszystkie kradzieże - przekonywał Jupiter. - Myślcie, chłopaki, tylko nie komplikujcie sprawy!

- Wszystkie przedmioty z listy to ciała stałe - oznajmił z powagą Pete. - Nie ma żadnych cieczy.

- Ale się wysiliłeś! - mruknął Bob.

- Ejże, panie archiwisto, każdy pomysł jest wart rozważenia! - skarcił go Jupiter. - Zgoda, mamy do czynienia z ciałami stałymi. Czy wszystkie przedmioty są z metalu? Nie. Czy mają ten sam kolor? Nie.

- Są dostatecznie małe, by je przenieść bez trudu - wtrącił Bob. Jupiter zerwał się na równe nogi. Oczy mu zabłysły.

- Racja! Może o to chodzi. Idziemy do Winnie Dalton.

Jupiter pospiesznie otworzył klapę w podłodze wiodącą do tajnego przejścia. Pozostali detektywi bez pytania opuścili Kwaterę Główną. Znali dobrze Jupitera i wiedzieli, że nic im teraz nie powie. Gdy znalazł właściwy trop, nie tracił czasu na wyjaśnienia. Cała trójka ruszyła Tunelem Drugim, prowadzącym do warsztatu urządzonego na świeżym powietrzu. Wolno zapadał zmierzch. Chłopcy wskoczyli na rowery i pojechali w stronę domu Pete'a. Jupe wyprzedził kolegów. Minęli podwórko Crenshawów i zatrzymali się przed sąsiednim domem. Zadzwonili do drzwi. Otworzyła im pani Dalton. Obok niej pojawiła się natychmiast ubrana w piżamę mała Winifreda.

- Znaleźliście Anastazję! - pisnęła.

- Jeszcze nie - Jupiter pokręcił głową. - Winnie, jeśli dobrze zrozumiałem, powiedziałaś, że Anastazja leżała w łóżku, gdy zniknęła wśród konarów. Możesz je opisać?

- Miała własne łóżeczko - oznajmiła z dumą dziewczynka. - Zawsze...

- Rozumiem - przerwał zniecierpliwiony Jupiter. - Jak ono wyglądało? To nie było chyba prawdziwe łóżko?

- Masz rację, Jupiterze. Mój mąż dał małej starą walizeczkę.

- Czarną? - wypytywał chłopiec. - Wysoką na dwanaście cali. Podobną do kufereka?

- Projektor mojego taty miał bardzo podobny futerał! - zawołał Pete.

- Wszystko się zgadza, chłopcy - odparła pani Dalton. - Walizeczka przypominała kuferek.

- Dzięki - rzucił Jupiter z błyskiem w oku i obiecał: - Jeszcze tu wrócimy, mała.

Detektywi wskoczyli na rowery. Po chwili znaleźli się w garażu Crenshawów. Było

tam jeszcze dość jasno.

- Futerały! - zawołał radośnie Bob. - Wszystkie ukradzione przedmioty znajdowały się w czarnych walizeczkach. Tak wyglądał również kuferek na projektor twego ojca, Pete!

- Racja, stary - rzucił chętnie Jupiter. - To jedyny element łączący lalkę Winnie z resztą ukradzionych rzeczy. Złodziej szuka czegoś, co jest ukryte w czarnej walizeczce!

- Niesamowite - rzucił Pete. - Co to jest?

- Nie będzie łatwo... - zaczął Jupiter.

Zza garażu dobiegł głośny hałas.

Odgłos przypominał rąbanie drewna. Potem rozległ się stłumiony ryk i tupanie. Chłopcy podbiegli do okna wychodzącego na podwórko. W gasnącym świetle dnia majaczyła niewyraźnie jakaś postać. Zniknęła w gęstych krzakach otaczających posesję Crenshawów.

- Złodziej! - krzyknął Pete.

Chłopcy wymknęli się z garażu i ostrożnie szli wzdłuż ściany. Ogród wydawał się pusty i cichy. Pod oknem, przez które wyglądali, coś leżało na ziemi. Pete schylił się, by podnieść tajemniczy przedmiot.

- To... zwierzęca łapka! - wykrztusił.

Jupiter wziął do ręki osobliwe znalezisko.

- Łapa wilka, moim zdaniem, i to zabitego przed wielu laty. Niekiedy używana jako talizman przynoszący szczęście.

- Znalazłem ją pod oknem garażu - mruknął Pete. - Panowie, ktoś nas podglądał i podsłuchiwał.

- Na pewno złodziej w czarnej pelerynie - oznajmił Bob.

Jupiter pokręcił głową.

- Nasz tajemniczy gość był od niego wyższy. Może kilka osób szuka czarnej walizeczki... albo jej zawartości.

- Teraz przynajmniej jeden z zainteresowanych wie, że przejrzelśmy jego grę - oznajmił ponuro Crenshaw junior.

- Fakt - przyznał Jupiter. Oczy lśniły mu w półmroku. - Dowiedział się, że jesteśmy na właściwym tropie i to nam pozwoli go schwycić. Sam do nas przyjdzie!

- Jak zdołamy go skłonić... - zaczął niepewnie Pete.

- Prawdopodobnie obserwuje ulicę i nas - wyjaśnił Jupiter. - Powłóczymy się trochę po okolicy, jakbyśmy szukali czarnej walizeczki. W pewnym momencie narobimy dużo szumu udając, że trafiliśmy na tę właściwą, i wtedy...

- Zastawimy pułapkę! - krzyknęli jednocześnie Bob i Pete.

Jupiter uśmiechnął się szeroko.

- Tak. Wpadnie w nią przebiegły złodziej... albo złodzieje.

ROZDZIAŁ 3

Sprytna pułapka

Białe pasma mgły snuły się tego wieczoru w porcie oraz nad ciemnymi falami Pacyfiku. Ulice Rocky Beach były ciche i wyludnione. Dwie samotne latarnie jaśniały tajemniczo we mgle.

W oddali zaszczeakał pies.

Zabłąkany kot przeciął opustoszałą ulicę.

Potem zapanował całkowity spokój.

W otwartych drzwiach oświetlonego garażu Crenshawów stanął Pete. Wysoki, barczysty detektyw spacerował przez chwilę w tę i z powrotem, zerkając niecierpliwie w głąb ciemnej ulicy. Wydawało się, że na coś czeka. Od czasu do czasu odwracał głowę i zerkał na stojące przed garażem czarne walizeczki. Było ich kilka. Trójka przyjaciół zgromadziła je nieco wcześniej. Jeżeli ktoś obserwował dom i garaż, musiał dostrzec tę zagadkową kolekcję.

Nagle przed domem pojawił się zdyszany Jupiter. Za nim przybiegł Bob. Chłopcy przywieźli ze sobą kolejny czarny kuferek. Sprawiali wrażenie bardzo podekscytowanych, gdy pędzili zamgloną uliczką.

- Co tam, chłopaki? - zawołał Pete.

Jupiter i Bob wbiegli na podwórko Crenshawów.

- Jupe jest święcie przekonany, że w końcu trafiliśmy na właściwy trop! - krzyknął archiwista.

- Zaraz sam zobaczysz! - wrzasnął zdyszany Jupiter.

Trzej przyjaciele usiedli na progu, nie zamykając drzwi garażu. Pierwszy Detektyw położył na ziemi przyniesiony kuferek. Chłopcy spoglądali na niego z ciekawością. Ich krępy szef otworzył walizeczkę i wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Pete'em, który z pochyloną głową gapił się na jej zawartość.

- Niesamowite! - mruknął najwyższy z trójki przyjaciół. - To jest coś!

- Moim zdaniem złodziej tego właśnie szuka - oznajmił Jupiter podniesionym głosem.

- Zgadzam się - przytaknął Bob. - Co teraz zrobimy, Jupe?

- Czy ja wiem...? - Jupiter udawał, że się zastanawia. - Późno już. Dawno powinienem być w domu. Zamknijmy nasze znalezisko w garażu. Rano odniesiemy je na policję.

- Masz rację. Zrobiło się całkiem ciemno - stwierdził Pete.

- Ja również muszę wracać do domu - dodał Bob. - Jutro dokończymy tę sprawę.

Położyli czarną walizeczkę na stole w rogu garażu, zgasili światło i wyszli, zamknąwszy drzwi na kłódkę. Jupiter i Bob wsiedli na rowery, pomachali koledze i odjechali. Wkrótce zniknęli za rogiem. Pete ruszył w stronę domu.

Ciemna zamglona ulica znowu opustoszała.

Bob i Jupiter nie ujechali daleko. Ledwie znaleźli się w pewnej odległości od domu kolegi, ukryli się przed wzrokiem złodzieja, który prawdopodobnie obserwował posesję Crenshawów. Rowery ustawili w cieniu eukaliptusowych zarośli. Skradali się obok żywopłotu rosnącego wzdłuż Ulicy Pete'a. Gdy dotarli do niskiego płotu Daltonów, przeleźli szybko na drugą stronę i ukryli się za krzakami dzielącymi ogród rodziców Winifredy od podwórka sąsiadów.

Drzwi opustoszałego garażu znajdowały się za gęstym szpalerem.

Trzej Detektywi cichutko wpełzli pod rozłożyste gałęzie. Leżeli ukryci w ich cieniu, ale w każdej chwili mogli wyskoczyć na podwórko Crenshawów. Widzieli oświetlone okno sypialni Pete'a. Ich kolega szykował się do snu. Właśnie dopinał guziki piżamy. Przez chwilę stał w oknie, ziewając demonstracyjnie. Po chwili światło zgasło.

Pasma białej mgły sunęły wśród zabudowań.

Minęło pół godziny. Leżący w cieniu krzewów Jupiter czuł, że drętwieje mu noga. Bob okropnie zmarzł. Obawiał się, że lada chwila zacznie dzwonić zębami. Bezdomny kot zaglądał do pojemników na śmieci, które postukiwały metalicznie. Ulicą przeszli dwaj mężczyźni pogrążeni w ożywionej rozmowie. Minęli dom Pete'a. Ich głosy oddalały się z wolna.

Jupiter zaczął podejrzewać, że genialny plan spalił na panewce. Złodziej się nie pokazał. Rodzice Drugiego Detektywa, którzy tego wieczoru zrobili sobie wolne, mogli powrócić lada chwila. Trzeba by wówczas odwołać starannie przygotowaną akcję.

Bob dygotał od chłodu i wilgoci. Jupiterowi oczy same się zamykały. Nagle coś zaszeleściło!

- Jupe - szepnął czujny archiwista.

Jakiś mężczyzna skradał się przez ogród Crenshawów. W bladym świetle ulicznej latarni dostrzegli wąsy i czarną pelerynę.

- Zauważyłem! - odparł szeptem Jupiter.

Filigranowy mężczyzna rozejrzał się niespokojnie, a potem ruszył w stronę garażu.

- Pamiętaj, musimy poczekać, aż ten facet włamie się i wejdzie do środka. Wtedy zabarykadujemy drzwi - mruknął półgłosem Jupiter. - Ty pilnujesz okna, ja wejścia, a Pete dzwoni na policję!

Bob energicznie pokiwał głową. Chłopcy obserwowali niewysokiego złodzieja, który wyciągnął spod peleryny jakieś narzędzia i zabrał się do otwierania kłódki. Wkrótce zniknął w garażu. Jupiter wyczołgał się zza krzaków.

- Stary, pospiesz się!

Wypadli z cienia i skoczyli ku drzwiom. Niespodziewanie poraziło ich ostre światło! Nic nie widzieli.

- Co to? - wrzasnął Bob.

Posuwał się prawie na oślep, osłaniając oczy ręką. Źródło światła znajdowało się między żywoplotem a ścianą garażu. Nagle zrobiło się ciemno. Chłopcy usłyszeli niezwykle dźwięk przypominający ryk dzikiej bestii!

Wydawało im się, że osobliwy dźwięk dobiega z miejsca, gdzie przed chwilą rozbłysła smuga oślepiającego blasku. Gdy spojrzeli w tamtą stronę, ujrzeli twarz opromienioną widmowym światłem.

Nie było to ludzkie oblicze, tylko szeroki, kosmaty, odrażający, na wpół zwierzęcy pysk obrośnięty czarną szczeciną. Ślepią były czerwone i przenikliwe, w szeroko rozwartej paszczy tkwił rząd ostrych zębów! Z potwornego łba wyrastały długie rogi, a na czubku głowy chwiała się kita długich włosów! Co za twarz! Groźne zębiska połyskiwały złowieszczo w widmowej poświacie!

- Ju... Ju... Jupe! - wykrztusił Bob.

Chłopcy osłupieli na widok diabelskiego oblicza. Nagle jasność zniknęła i wszystko pochłonął wieczorny mrok.

Chłopcy stali w miejscu niezdolni się poruszyć.

- Jupe! Bob!

Pete nawoływał z okna. Machał rękoma, wskazując podwórko.

- Zabrał walizeczkę! - krzyknął Drugi Detektyw. - Ucieka!

Filigranowy złodziej wymknął się z garażu i minął osłupiałych z przerażenia chłopców. Pobiegł przez podwórko w stronę płotu. Łopotała nad nim czarna peleryna. Rabuś zabrał walizeczkę, która była przynętą w pułapce zastawionej przez Trzech Detektywów.

- Jupe, łapmy go! - Bob opamiętał się pierwszy.

Popędził za nocnym gościem. Jupiter deptał koledze po piętach. Gdy wypadli na ulicę, dogonił ich Pete. Drugi Detektyw wskazał ręką w głąb ulicy. Złodziej w pelerynie podbiegł do czerwonego auta marki Datsun, zaparkowanego po drugiej stronie ulicy. Chłopcy pognali za nim. Bob wpadł na mężczyznę, który niespodziewanie stanął im na drodze.

- Co tu się dzieje? - zapytał ostro nieznajomy, chwytając archiwistę za ramię. - Nie

możecie uważać, dzieciaki?

Był niski, szczupły, siwowłosy. Nosił binokle na wstążeczce przewleczonej przez dziurkę od guzika kamizelki szarego garnituru. Nerwowo mrugał powiekami, spoglądając na chłopców niczym podejrzliwy nauczyciel.

- Tamten człowiek jest złodziejem! - krzyknął Bob, wskazując mężczyznę w pelerynie, który wsiadał już do czerwonego datsuna.

- Ucieka! - jęknął rozpaczliwie Pete.

Rozległ się warkot silnika. Samochód odjechał. Chłopcy oraz szczupły mężczyzna patrzyli na znikające auto.

- Oskarżenie o kradzież to bardzo poważny zarzut, młody człowieku - powiedział surowo nieznajomy. - Co u kradł tamten człowiek?

- Czarną walizeczkę! - zawołał Bob. - Gdyby nas pan nie zatrzymał...

- Co było w tej walizeczce? - dopytywał się nieznajomy.

- Proszę? - wykrztusił Pete.

- Nie możemy panu tego powiedzieć - wtrącił Jupiter.

- Rozumiem. - Nieznajomy zerknął na chłopców podejrzliwie. - To jakieś szczeniackie wygłupy, prawda? Wracajcie do domu, smarkacze. Nie dam się nabrać na takie stare dowcipy.

Odwrócił się i pomaszerował w głąb ulicy. Zamyślony Jupiter patrzył za odchodzącym mężczyzną, który wkrótce zniknął za rogiem.

- Czy ten facet tu mieszka, Pete? - zapytał Pierwszy Detektyw.

- Widziałem go po raz pierwszy w życiu - odparł Crenshaw junior. - Rozumiem! Sądysz, że celowo nas zatrzymał, by umożliwić złodziejowi ucieczkę?

Jupiter w zadumie pokiwał głową.

- Niewykluczone, stary.

- Jupe? - mruknął Bob. - Co sądzisz o diabelskiej mordzie, którą przed chwilą widzieliśmy?

- Sam nie wiem. - Jupiter bezradnie rozłożył ręce.

- O czym wy mówicie?

Bob opisał przerażające oblicze, które ukazało im się na moment. Z okna sypialni Pete nie mógł go dostrzec.

- Okropność! - Pete aż się wzdrygnął. - Może to złudzenie? Przecież jest mgła.

- Nie dojdziemy teraz, co to było - rzucił ponuro Bob. - Najgorsze, że złodziej nam uciekł!

- Znajdziemy go - oznajmił Jupiter, uśmiechając się do przyjaciół. - Na wszelki wypadek umieściłem w czarnej walizeczce jeden z naszych elektronicznych identyfikatorów. Przy odrobinie szczęścia sygnał nadajnika doprowadzi nas do kryjówki złodzieja.

- A jeśli ten facet znajduje się już poza naszym zasięgiem? - rozpaczał Pete.

- Nie sędzę - uspokoił go Jupiter. - Od dwóch dni kręci się po okolicy. Przypuszczam, że znalazł sobie w pobliżu jakieś lokum. Poszukajmy złodziejaska.

Jupiter wyciągnął i włączył odbiornik. Sam zbudował to elektroniczne urządzenie - bardzo przydatne młodemu detektywom. Przez chwilę nic się nie działo. Potem zabrzmiało ciche rytmiczne popiskiwanie.

- Jest! - zawołał radośnie Jupiter. - Mniej więcej dwie mile stąd!

Detektywi wskoczyli na rowery.

ROZDZIAŁ 4

Demon atakuje!

Rytmiczne ciche popiskiwanie wiodło chłopców wśród nocnych ciemności ku plaży nad Pacyfikiem. Jechali wolno w gęstniejącej mgle. Uważnie obserwowali strzałkę na tarczy elektronicznego przyrządu Jupitera.

Skonstruowane przez niego urządzenie odbierało sygnały nadajnika i działało dwójako: siła i częstotliwość odgłosów zwiększała się w miarę przybliżania do źródła impulsów, natomiast strzałka na tarczy pozwalała ocenić, czy znajduje się ono na prawo, na lewo czy też na wprost. Czerwone światelko alarmowe zapalało się automatycznie, gdy osoba posiadająca nadajnik wypowiedziała słowa: na pomoc. W tym wypadku było to jednak mało istotne.

- Sygnał jest nieco silniejszy - zauważył Pete, gdy znaleźli się niedaleko plaży.

- Strzałka wychyla się w lewo - oznajmił Bob, zerkając na przyrząd umieszczony w koszyku przymocowanym do roweru Jupitera.

Chłopcy oddalali się od portu. Jechali wzdłuż opustoszałego brzegu. Było mglisto. Rzadko mijaly ich samochody. Chłód i wilgoć odstraszyły amatorów wędrówek po plaży oraz nastolatków biwakujących tu chętnie wieczorami. Rowerzyści pedałowali w ciszy przerywanej tylko elektronicznymi odgłosami, które rozbrzmiewały coraz głośniejsze i częściej.

Mijali nadmorskie motele. Popiskiwanie osłabło i rozbrzmiewało nieco nadziei.

- Pojechaliśmy za daleko! - krzyknął Bob.

- Ten facet na pewno ukrywa się w jednym z moteli - stwierdził Pete.

- Racja - przytaknął Jupiter. - Ukryjmy rowery i chodźmy pieszo. Uważajcie. Facet już się chyba zorientował, że próbujemy go namierzyć.

Detektywi zostawili swoje pojazdy wśród ozdobnych krzewów rosnących między dwoma motelami i ruszyli z powrotem ciemną drogą. Pikanie odbiornika brzmiało coraz głośniejsze. Zwiększała się także jego częstotliwość. Po chwili strzałka stanęła dokładnie pośrodku skali, wskazując kierunek na wprost, ku oceanowi.

- Tam się ukrył! - oznajmił Jupiter.

Wskazał motel o nazwie "Palm Court", niewyraźnie majaczący w mroku między jezdnią a plażą. Różowo-zielony neon mrugał wesoło, rzucając kolorowe smugi światła na fasady trzech niewielkich parterowych budynków ustawionych w literę U frontem do szosy. Przed każdym z nich detektywi zobaczyli zaparkowane samochody. Idąc drogą, obejrzeliby je z

uwagą.

Pete kręcił głową.

- Przykro mi, Jupe - mruknął. - Nie ma czerwonego datsuna.

Żaden z detektywów nie dostrzegł charakterystycznego auta.

- Sądzisz, że facet znalazł nadajnik? - zapytał Bob. - Może go tu podrzucił? Chyba wyszliśmy na idiotów.

- Nie można tego wykluczyć - mruknął nerwowo Jupiter.

- Z pewnością domyślił się, że próbujemy go przechytryć - stwierdził Pete. - Miał dość czasu, by otworzyć walizkę. Na pewno znalazł metalową rurkę, którą włożyliśmy do środka!

- Jasne. Złodziej pewnie już wie, że to była pułapka - odparł ponuro Jupiter. Po chwili dodał nieco pogodniej: - Nie poddawajmy się, póki mamy choćby cień szansy! Zobaczmy, skąd dobiegają sygnały.

Przysadzisty szef agencji detektywistycznej nie dał kolegom czasu do namysłu. Ruszył naprzód, nie zwracając uwagi na mgłę i ciemności. Obszedł budynki motelu, w skupieniu obserwując skalę odbiornika. Bob i Pete deptali mu po piętach. Tylne drzwi pokoi wychodziły na rozległą plażę. Chłopcy posuwali się wolno między zabudowaniami i nadmorską wydumą. Przemykali wśród palm kołyszących się na wietrze.

Gdy byli w połowie budynku najbardziej wysuniętego w stronę oceanu, strzałka pokazała kierunek na wprost! Ruszyli w stronę drzwi znajdujących się nieco dalej.

- Tam jest zupełnie ciemno, Jupe! - szepnął Bob. - Nikogo nie ma!

- Facet zwał! - jęknął rozpaczliwie Pete.

- Może tylko wyszedł na chwilę i wkrótce powróci? Kto wie, czy w ogóle miał czas otworzyć walizkę? - stwierdził z ożywieniem Jupiter. - Chodźcie!

Pierwszy Detektyw pochylił się i ruszył wzdłuż budynku. Okna były ciemne. Wkrótce dołączyli do niego Pete i Bob. Piasek i drobny żwir cicho skrzypiał pod stopami. Strzałka odbiornika wskazywała drzwi jednego z pokoi. Częstotliwość elektronicznego dźwięku rosła stopniowo.

- Kryć się! - syknął Pete. Upadł na piasek i pociągnął za sobą kolegów.

Drzwi prowadzące do ciemnego pokoju nagle się otworzyły!

Stanął w nich niewysoki mężczyzna. Przez chwilę czekał nieruchomo na progu i patrzył w ciemność. Twarz nieznanego kryła się w cieniu markizy. Pod osłoną mgły chłopcy podpełzli nieco bliżej. Wstrzymali oddech i zalegli płasko na ziemi.

Tajemniczy mężczyzna znieruchomiał i nadal wpatrywał się w ciemność.

Nasłuchiwał, jakby coś go zaniepokoiło.

Sygnaly dźwiękowe odbiornika, przemknęło przez myśl Jupiterowi! Wcisnął urządzenie w piach, lecz odgłosy nadal rozlegały się dość głośno. Po omacku znalazł wyłącznik i nacisnął go z całej siły. Popiskiwanie umilkło. Jupiter odetchnął z ulgą.

Ukryty w cieniu mężczyzna nasłuchiwał jeszcze przez chwilę. Najwyraźniej się uspokoił. Bez pośpiechu ruszył wzdłuż ściany motelu. Gdy skręcał za róg, znalazł się na moment w smudze światła padającej z okna.

- Jupe! - syknął Bob.

To był szczupły facet w szarym garniturze i binoklach, który zatrzymał ich na ulicy Pete'a, gdy ścigali złodzieja.

- W pierwszej chwili wziąłem go za naszego złodziejaska! - stwierdził z ożywieniem Drugi Detektyw.

- Łatwo się pomylić - odparł szeptem Jupiter.

Przez kilka minut chłopcy leżeli nieruchomo na piasku. Tajemniczy okularnik nie wracał. Dookoła było pusto. Detektywi podczołgali się i wystawili głowy zza rogu. Między dwoma budynkami motelu ujrzeni nieznanego eleganta, który minął parking i wsiadł do lśniącego czarnego mercedesa stojącego przed biurem. Wytworna limuzyna odjechała.

Chłopcy wrócili pod drzwi ciemnego pokoju i zerknęli do środka przez częściowo zasłonięte okna. Jedynym źródłem światła był kolorowy neon. Migotliwy blask nieco rozjaśniał hotelowe wnętrza. Wydawało się, że nikogo tam nie ma. Na podłodze stały jakieś ciemne przedmioty.

- Proszę, proszę! - mruknął Jupe. Nacisnął klamkę i wszedł do środka. Pete i Bob wśliznęli się za nim.

- Stań na czatach - polecił Jupiter Drugiemu Detektywowi.

Na podłodze stał długi szereg czarnych walizeczek, słabo widocznych w mroku. Pete wyglądał przez okno, a Bob wraz z Jupe'em otwierali kolejno ciemne kuferki.

- Znalazło się wszystko, co zostało ukradzione! - oznajmił tryumfalnie archiwista.

- Owszem - przyznał Jupe - łącznie z lalką Winnie i naszą metalową rurką. Niestety, wciąż nie mamy pojęcia, o co chodzi złodziejowi. Bob, trzeba się tu rozejrzeć. Szukaj po lewej stronie, ja się zajmę prawą. Może trafimy na wskazówkę, która pozwoli nam odgadnąć, czego chce ten facet.

Pokój był niemal pusty. Detektywi nie znaleźli tam żadnej walizki, rzeczy osobistych ani narzędzi zdradzających plany rabusia.

- Widzę czerwony samochód! - rzucił czuwający przy oknie Pete. Spoglądał przez

szparę między zasłonami. - To datsun. Podjeżdża tutaj!

- Już nas tu nie ma! Obserwujcie faceta z ukrycia! - polecił Jupiter. Wybiegli na zewnątrz i przypadli do ziemi pod oknem wychodzącym na plażę. Po chwili w pokoju zapaliło się światło. Detektywi ostrożnie unieśli głowy, by przyjrzeć się przez szybę filigranowemu złodziejowi. Był niski: miał niewiele ponad pięć stóp wzrostu. Nosił sfatygowaną marynarkę z łatami na łokciach, wymięte brązowe spodnie oraz szeroką pelerynę. Włosy miał siwe i okropnie potargane, jakby nigdy ich nie czesał. Twarz była pociągła, nos ostry, oczy małe i wyblakłe, zęby drobne. Mężczyzna przypominał smutną podstarzałą mysz z sumiastymi wąsami.

- Zabawny człowieczek - szepnął leżący pod oknem Pete - Wcale nie wygląda na złodzieja.

- Chyba nie jest zawodowcem - dodał Bob. - Popatrz, Jupe, cały się trzęsie ze strachu! Zupełnie jak wystraszony szczurek.

Niewysoki złodziej stał pośrodku pokoju i gapił się bezmyślnie na rząd czarnych walizek. Był zaniepokojony. Marszczył brwi. Węszył jak mysz przerażona obcym zapachem. Chłopcy widzieli, że porusza ustami, jakby mówił do siebie. Jupiter trącił łokciami kolegów.

- Chyba się domyślił, że ktoś obcy był w pokoju - szepnął nerwowo.

- Czas się stąd wynosić! - odparł Pete.

Chłopcy przeczołgali się pod oknem i wpełzli za najbliższą wydnię. Pasma mgły wirowały w powietrzu. Rzędy palmowych pni wyglądały w mroku jak widmowi strażnicy. Ukryci za wydnią detektywi naradzali się szeptem.

- Powinniśmy go złapać - oznajmił Bob. - To chuchro. We trójkę szybko damy sobie z nim radę.

- Nie masz racji, stary - upierał się Jupiter. - Zobaczysz, napytamy sobie biedy. Co innego, gdybyśmy go zamknęli w garażu Crenshawów. Twój pomysł oznacza zwykłą napaść. Poza tym facet może być uzbrojony! A jeśli zaczniesz strzelać?

- Musimy coś zrobić - nalegał Pete.

- Sądzę, że czas zadzwonić na policję - uznał Jupiter. - Pete, stań na czatach i obserwuj, co się dzieje. Bob, podejdź do tego datsuna i spisuj numery rejestracyjne. Ja zadzwonię do komendanta Reynoldsa. Potem...

Oślepił ich nagły blask! Pojawiło się dziwne światło. Obłok gęstego białego dymu spowił wydnię ponad głowami chłopców. Usłyszeli potworny ryk.

Na piasku stała budząca grozę postać.

Był to zwalisty potwór z długimi rogami i przenikliwymi czerwonymi ślepiami. W

otwartej paszczy lśniły ostre zęby. Bob i Jupiter widzieli już tę okropną mordę, gdy stwór wyrzął zza garażu! Teraz ujrzeli monstrum w całej okazałości. Demon był wysoki, potężny i cały obrośnięty sierścią. Długie kosmyki zwisały mu z ramion i nóg. Na głowie chwiała się kita gęstych włosów. Kark otaczały naszyjniki z drobnych kości. U pasa wisały piszczele, dzwonki, grzechotki oraz kłosa zbóż. Przez włochaty tors przerzucona była skóra wilka. Chłopcom zdawało się przez moment, że to groźny drapieżnik tak warczy.

- Co... co to jest? - wykrztusił Pete.

Nim Bob i Jupiter zdążyli odpowiedzieć, straszidło rozpoczęło upiorny taniec. Dzwonki, grzechotki i kości hałasowały w nocnej ciszy. Monstrum zbliżało się do chłopców, znieruchomiłych z przerażenia u podnóża wydmy.

- Chłopaki! Wiejemy! - krzyknął nagle Bob.

ROZDZIAŁ 5

Strasznie, coraz straszniej!

Trzej Detektywi brnęli przez żwir i piasek. Z trudem łapali oddech.

- Biegiem do tamtych skał! - wrzasnął Pete.

Po prawej stronie wyrastały z piasku olbrzymie głazy. Ciągnęły się w poprzek szerokiej plaży i ginęły w wodach oceanu, tworząc naturalny falochron. Chłopcy pędzili ku tej osłonie. Dopiero gdy przycupnęli pod skałami, odważyli się popatrzeć za siebie.

- Straszdyło... zniknęło - wymamrotał drżącym głosem Bob, jakby nie wierzył swemu szczęściu.

Na plaży było ciemno i pusto. Nie dostrzegli żadnego ruchu - wyjąwszy, rzecz jasna, auta jadące odległą szosą. W gęstej mgle majaczyły niewyraźnie światła ich reflektorów.

- To... było... Tam. - Pete ledwie dyszał. - Widzieliście?

- Spotkaliśmy już tego potwora! - jęknął Bob.

- Tak - potwierdził Jupiter, opierając się o skałę. Dyszał ciężko po szybkim biegu. - Nie przeczę, że widzieliśmy tajemnicze straszdyło, słyszeliśmy ryk i grzechot kości, ale... co właściwie zobaczyliśmy i usłyszeliśmy?

Pete i Bob osunęli się bezwładnie na piasek.

- Tylko nie próbuj nam wmówić, że to był duch! - jęknął rozpaczliwie Drugi Detektyw. Nagle zreflektował się i mruknął: - O rany! Co ja gadam?

- Moim zdaniem to wcale nie było widmo, stary - ponuro rzucił zdyszany Jupiter. - Nie neguję istnienia nie wyjaśnionych zjawisk parapsychologicznych zwanych pospolicie duchami, ale w tym wypadku...

- A więc co to było? - przerwał mu Bob. - Zbiorowa halucynacja?

- Dobrze sobie! Ta twoja halucynacja zamierzała nas rozdeptać jak nędzne robaki - wtrącił Pete.

- Zjawa miała postać demona - mruknął Bob. - To jest pół zwierzak, pół człowiek.

- Chcesz powiedzieć, że widzieliśmy diabła we własnej osobie? - wypytywał zaniepokojony Pete. - Z krwi i kości?

- Stwór przypomina z wyglądu plemienne demony - przyznał Jupiter. - Hmm, czymkolwiek jest owo monstrum, jego celem było nas odstraszyć.

- To mu się nie udało! Prawda, Juve? - powiedział śmiało Bob.

- Ja spadam! - oznajmił Pete. - Mam tego dosyć!

Jupiter i Bob uśmiechnęli się ukradkiem w ciemnościach. Zdawali sobie sprawę, że Pete zawsze marudzi, kiedy jest zdenerwowany. Jeśli trzeba działać, pierwszy rzuca się w wir zdarzeń.

Detektywi siedzieli oparci o skały. Oddychali coraz regularniej. Pete rozglądał się bojaźliwie po zamglonej plaży, jakby oczekiwał kolejnego spotkania z demonem. Nad brzegiem oceanu nadal było pusto i cicho.

- Dość leniuchowania. Trzeba się wziąć do roboty - zdecydował Jupe. - Powinniśmy teraz ruszyć ku drodze i obejść budynki motelu. Trzeba zrealizować do końca nasz plan. Poszukam telefonu i zadzwonię na policję, a wy nie spuszczaćcie z oka myszowatego. Na razie siedzi w pokoju. Sądzę, że mamy do czynienia z przebiegłą szajką. Złodzieje prawdopodobnie działają w dwójkę, ale może być ich więcej. Pamiętajcie, ten kurdupel gadał do siebie, gdy obserwowaliśmy go przez okno. Moim zdaniem to nie była zwykła paplanina. Zapewne rozmawiał przez miniaturowy telefon ze stojącym u frontowych drzwi współnikiem, którego nie mogliśmy zauważyć.

- Może potwór, któremu uciekliśmy, jest także na usługach złodzieja - dodał Bob.

- O jejku! - mruknął z rozpaczą Pete. - Tresowana zjawa! Tylko tego nam brakowało!

- Nie martw się, Pete - Bob parsknął śmiechem. - Paskuda zniknęła.

- Nieprawda! - wrzasnął Pete. - Tam!

Rozległ się mrozący krew w żyłach ryk.

Na skałach ponad głowami chłopców znowu pojawił się potwór. Detektywi osłupieli ze strachu na widok ogromnej kosmatej mordy, błyszczących czerwonych ślepi, połyskujących groźnie zębów i wilczego łba zwisającego z ramienia tajemniczej bestii. Oczom chłopców ukazał się osobliwy widok. Monstrum zaczęło nagle skakać i podrygiwać. Grzechot kości i dźwięk dzwonek brzmiał złowrogo w nocnej ciszy. Kosmaty stwór rozwarł szeroko potężne szczęki. Zabrzmiał osobliwy głuchy ryk, który zdawał się dochodzić ze wszystkich stron:

- Kto odbiera spokój duchom, tego wnet zabierze śmierć!

Na dźwięk strasznego głosu chłopcy oprzytomnieli. Zerwali się na równe nogi i uciekli w panice. Biegli jak na skrzydłach pustą ciemną plażą. Bob na moment odwrócił głowę, potknął się o kamień przykryty zwirem i upadł jak długi. Pociemniało mu w oczach.

Pete i Jupiter usłyszeli towarzyszący upadkowi głuchy odgłos. Natychmiast przystanęli i chcieli zawrócić. Ogarnęła ich rozpacz, gdy ujrzeli rozciągniętego na piasku kolegę!

Potwór tańczący na skałach wybuchnął upiornym śmiechem i skoczył ku bezbronnej

ofierze.

- Ostrzegam was, świętokradcy!

Pete schylił się bez namysłu, chwycił duży kamień i cisnął nim w kosmate monstrum.

Bestia cofnęła się z ogłuszającym rykiem, potrząsnęła wielkim łbem i znowu spięła się do skoku.

- Rzucaj, Jupe! - wrzasnął Pete i znowu cisnął kamieniem. Po chwili obaj chłopcy zasypali potwora gradem pocisków.

- Głupcy, ostrzegam was!

Błysk światła, obłok białego dymu... Szalony Demon zniknął w ciemnościach!

- O rany! - wysapał oszołomiony Pete. Dogonił ich Bob, ledwie żywy ze strachu i zmęczenia.

- Dzięki! Niewiele brakowało...

- Po prostu zniknął! - Pete nie wierzył własnym oczom. - Rozpłynął się w powietrzu.

- Trzeba tu pomyszkować - oznajmił ponuro Jupiter.

Pete i Bob z ociąganiem ruszyli za Pierwszym Detektywem. Rozglądali się niespokojnie na wszystkie strony. Na plaży panował całkowity bezruch. Potwór zniknął w gęstej mgle. Jupiter pochylił się, badając piaszczysty grunt.

- Popiół! - Dotknął kupki białego pyłu. - Gorący popiół!

To było wszystko, co zostawiła po sobie zagadkowa postać.

- Wracajmy... Wracajmy do domu - zaproponował Pete.

- Nie teraz - odparł zdecydowanie Jupiter. - Mamy jeszcze sporo do zrobienia!

- O nie! - jęknął Pete. - Chcesz, żebyśmy wrócili... do motelu?

- Tak, stary. Trzeba jak najszybciej zadzwonić do komendanta Reynoldsa.

Policjanci zjawili się dziesięć minut po telefonie Jupitera. Niestety, przybyli za późno! Gdy Pete i Bob wrócili pod okno pokoju zajmowanego przez złodzieja, zorientowali się natychmiast, że czerwony datsun zniknął razem z myszowatym kierowcą. Złodziej pozostawił w motelu ukradzione walizki.

- Właściciel twierdzi, że facet niskiego wzrostu zwolnił niedawno pokój. Nie ma adresu gościa - oznajmił komendant Reynolds. - Przestępca zameldował się pewnie pod fałszywym nazwiskiem. Poszukamy tego datsuna. Nie będzie to łatwe, bo złodziej prawdopodobnie wieje, aż się kurzy, ale my go znajdziemy. Nie damy się nabrać na głupie sztuczki z diabelskimi potworami!

Jupiter słuchający z uwagą wywodów komendanta Reynoldsa niespodziewanie

zachichotał.

- Dobra robota, chłopcy - ciągnął policjant. - Znalazły się wszystkie ukradzione przedmioty. Dopilnujemy, żeby powróciły do właścicieli. Moje gratulacje! Rozwiązaliście kolejną zagadkę, co? Wskakujcie, podwożę was do domu.

- Dziękujemy panu - odparł uprzejmie Jupiter. - Zostawiliśmy w pobliżu rowery. Wrócimy sami.

Detektywi zabrali projektor pana Crenshawa oraz swoją czarną walizeczkę i udali się w stronę zarośli, gdzie ukryli rowery. Jechali w milczeniu do składu złomu Jonesów. Gdy Pete i Bob ruszali ku swoim domom, ich przysadzisty szef oznajmił:

- Spotykamy się tu jutro z samego rana, chłopaki. Nie można uznać tej sprawy za zamkniętą, dopóki policja nie schwyta złodzieja. Może jutro będą jakieś nowe informacje. Trzeba się również zająć tajemniczym demonem. To z pewnością nie było złudzenie!

- Jesteś... pewny? - zapytał drżącym głosem Pete.

- Gdy rzuciłeś w niego kamieniem, wrzasnął i zachwiał się. Zjawy nie odczuwają bólu.

- Sądzisz, że to monstrum może być... prawdziwe? - mruknął Bob.

- Oczywiście, stary - odparł Jupiter. - Z drugiej strony jednak należy wziąć pod uwagę ewentualność, że nie jest istotą ludzką!

ROZDZIAŁ 6

Wnioski Jupitera

- Daleko nam jeszcze do zamknięcia tej sprawy - oznajmił Jupiter. - Jeśli mam być szczery, moim zdaniem to dopiero początek.

Trzej Detektywi spotkali się następnego ranka w tajnej Kwaterze Głównej. Bob i Pete przyjechali rowerami do składu Jonesów wkrótce po śniadaniu zjedzonym w wielkim pośpiechu. Zastali Jupitera przy biurku, pochylonego nad wielkim zeszytem, w którym notował coś z zapalem.

- Cześć, Jupe. Policja nakryła złodzieja? - zapytał Pete.

- Nie - odparł szef agencji detektywistycznej. - Odnaleźli za to datsuna. Auto zostało porzucone w samym środku miasta. Rozmawiałem przed chwilą z komendantem Reynoldsem. Twierdzi, że ten ślad prowadzi donikąd. Samochód był wynajęty. Prawdopodobnie złodziej podał fałszywe nazwisko. Komendant sądzi, że przestępca znajduje się już daleko stąd. Nie podzielam jego zdania. Szczerze mówiąc, jestem pewny, że facet nadal kręci się w pobliżu.

- Jak na to wpadłeś? - dopytywał się Bob.

- Nie znalazł dotąd rzeczy, której uparcie szuka. Pamiętajcie, że wszystkie skradzione przedmioty znaleźliśmy w motelu - stwierdził z naciskiem Jupiter. - Poza tym gdyby złodziej miał już to, na czym mu tak bardzo zależy, nie robiłby tyle rabanu, żeby nas odstraszyć.

- Może trafił na ów tajemniczy przedmiot tej nocy, gdy opuścił motel? - zauważył Bob.

- Możliwe, ale mało prawdopodobne, stary. Komendant Reynolds powiedział mi dziś rano, że w dzielnicy Pete'a nie było w ciągu ostatnich kilku godzin żadnych kradzieży. Możemy śmiało przyjąć, że przestępca nadal węszy.

- Ciekawe, gdzie jest rzecz, której szuka - mruknął w zadumie Peto.

- Tego właśnie trzeba się dowiedzieć!

- Jak tego dokonamy, Jupe? - wypytywał Bob.

- Pomoże nam logiczne rozumowanie oraz metoda dedukcji - oznajmił Jupiter z chępliwym uśmiechem. - Przede wszystkim podsumujmy wszystko, co już wiemy.

- Złodziej szuka przedmiotu ukrytego w czarnej walizeczce.

- Szuka go w dzielnicy Pete'a.

- Warto dodać - wtrącił Jupiter - że owa upragniona rzecz nie jest własnością nikogo z

sąsiadów Pete'a.

Bob i Pete wlepili zdziwione oczy w przenikliwego detektywa.

- Złodziej najwyraźniej doskonale wie, czego szuka, ale nie ma pojęcia, kto przechowuje ten przedmiot. Gdyby chciał ukraść czyjąś własność, nie błędziłby po omacku, porywając wszystkie czarne walizki, które zdołał wypatrzeć.

- Nic z tego nie rozumiem - przyznał Bob. - Skoro wie, czego szuka, powinien także zdawać sobie sprawę, czyja to własność.

- Och, z pewnością masz rację. Facet jest głęboko przekonany, że tajemniczy przedmiot jemu się należy! - tłumaczył Jupiter. - Do niedawna czarny kuferek wraz z zawartością znajdował się prawdopodobnie w jego posiadaniu.

Pete'owi cała sprawa nadal wydawała się niesłychanie zawiła, ale Bob pojął w mgnieniu oka, co Jupiter ma na myśli.

- Facet szuka zguby! To jasne jak słońce!

- Oczywiście - przytaknął Jupiter. - Zgubił ten przedmiot albo został okradziony.

- Przestępca nie wie, kto zaopiekował się jego własnością, ale przypuszcza, że ta osoba mieszka w dzielnicy Pete'a - dodał Bob. Crenshaw junior wciąż wydawał się zbity z tropu.

- Jupe, co ty pleciesz? Nie mógłby po prostu zapytać? Jeżeli to jego własność, wystarczy popytać ludzi, czy nie znaleźli czarnego kufereka. W przypadku kradzieży powinien iść na policję.

- Oto sedno sprawy. Moim zdaniem walizka była ostatnio w posiadaniu myszowatego, ale nasz znajomy wcale nie jest właścicielem kufereka i jego zawartości! - oznajmił tryumfalnie Jupe. - Dlatego facet węszy po kryjomu, kradnie czarne kufereki i próbuje nas przestraszyć. Zapewne przywiązuje ogromną wagę do odnalezienia przedmiotu, który jest bardzo wartościowy, a na dodatek pochodzi z kradzieży. Złodziej stracił cenny łup.

- Ale numer! - zawołał Pete. - Facet ukradł, a następnie sam został okradziony.

- Przypuszczam, że taka była kolejność wydarzeń.

- Ostatnio nie odnotowano w okolicy żadnych zuchwałych napadów - przypomniał Bob, marszcząc brwi.

- Może przestępca ukradł cenny przedmiot daleko stąd - zauważył Jupiter. - Biorę pod uwagę i taką ewentualność, że okradziony mieszkaniec Rocky Beach nie odkrył jeszcze poniesionej straty, a tymczasem złodziejaszek w czarnej pelerynie usiłuje za wszelką cenę odzyskać łup.

- Musimy go uprzedzić! - zawołał z entuzjazmem Bob. Po chwili mina mu zrzedła. -

Jak tego dokonać? Skoro facet nie ma pojęcia, kto zabrał walizkę, jak my się tego dowiemy?

- Jednego nie rozumiem - oświadczył Pete. - Jeśli złodziej nie wie, u kogo jest kuferek, dlaczego zakłada, że przechowuje go ktoś z moich sąsiadów?

- Tę zagadkę musimy rozwikłać, by wreszcie schwytać przestępcę - oznajmił Jupiter.

Bob i Pete wymienili znaczące spojrzenia. Najwyraźniej zwątpili w przytomność umysłu roztropnego przyjaciela. Ale on w ogóle się tym nie przejął. Krępy szef agencji detektywistycznej uśmiechał się z zadowoleniem. Przypominał sprytnego kocura, który właśnie pożarł tłustego kanarka.

- Dość wygłupów, stary - mruknął w końcu Bob, nie zwracając uwagi na kpiącą minę kolegi. - Przecież nie mamy żadnego punktu zaczepienia.

- Wręcz przeciwnie - odparł pogodnie Jupiter. - Jesteśmy na właściwym tropie. - Pochylił się ku przyjaciółom. - Kiedy zaczęły się kradzieże?

- Przed dwoma dniami - odparł Pete. Jupiter skinął głową.

- Prawdopodobnie złodziej szybko zauważył stratę i zaczął poszukiwania. Walizeczka zaginęła dzień wcześniej, zapewne późnym popołudniem.

- W okolicy, w której mieszka Pete? - rzucił domyślnie Bob.

- Tak sądzę - odparł Jupiter. - W jakich okolicznościach człowiek traci cenne przedmioty, których zazwyczaj strzeże jak oka w głowie?

- Prawdopodobnie zdarzyło się coś nieprzewidzianego - rzucił Bob.

- Oczywiście - przytaknął Jupiter. - Coś odwróciło uwagę przestępcy albo go przeraziło i dlatego działał pochopnie.

- Wrogowie nie dawali mu spokoju? - zastanawiał się Bob. - Może ten niski chudzielec w śmiesznych okularkach deptał mu po piętach?

- Policja go ścigała? - wtrącił Pete.

- Albo miał wypadek samochodowy - dodał Jupiter. - Wysiadł z samochodu, trzymając walizeczkę, odstawił ją na moment, a potem wskoczył do auta i zwiął z miejsca wypadku, by uniknąć przykrych konsekwencji.

- Niestety, zapomniał o cennym łupie - dokończył Bob. - Problem w tym, jak zdołamy...

- Daliśmy się nabrać, stary - burknął Pete. - Jupe wszystko sprawdził, nim się tu zjawiliśmy. Na pewno pociągnął za język Reynoldsa.

- Zgadza się - przyznał z uśmiechem Jupiter. - Przed dwoma dniami, punktualnie o wpół do szóstej na rogu ulicy Pete'a samochód wpadł w poślizg! Kierowca staranował ogrodzenie i zwiął. Nikt nie zapisał numeru rejestracyjnego auta, lecz świadkowie zeznali, że

był to czerwony datsun. Jestem przekonany, że prowadził go myszowaty. Trzeba tam iść i popytać...

Pete dał znak ręką, by zamilkli. Nadstawił uszu. Dobięły chłopców podniesione głosy.

- Peryskop - rzucił krótko Bob.

Pete przyłożył oko do urządzenia skonstruowanego przez Jupitera z paru soczewek i rury od staromodnego pieca. Drugi Detektyw ujrzał sterty rupieci otaczające Kwaterę Główną.

- To ciotka Matylda - zameldował Pete, a potem niespodziewanie znieruchomiał. - Jest z nią chudzielec w binoklach, który zatrzymał nas wczoraj na ulicy, a wieczorem był w motelu! Uwaga, odchodzą!

- Szybko! Za nimi! - rzucił Jupiter.

Wyszli z przyczepy przez klapę w podłodze i poczołgali się Tunelem Drugim. Wysunęli się na zewnątrz, okrążyli stertę złomu i podbiegli do ciotki Matyldy, która odprowadzała wzrokiem szczupłego mężczyznę. Tajemniczy przybysz wsiadł do czarnego mercedesa; chłopcy widzieli tę limuzynę przed motelem "Palm Court". Samochód odjechał.

Kto to był, ciociu? Czego chciał? - rzucił zdyszany Jupiter.

- Bez mojego pozwolenia myszkował po składowisku - oznajmiła zirytowana pani Jones. - Kiedy chciałam się dowiedzieć, czego tu szuka, zaczął mnie wypytywać, czy przypadkiem jakaś osoba, a właściwie trzej chłopcy, nie sprzedała mi czarnej walizeczki. - Ciotka Matylda zerknęła podejrzliwie na trójkę przyjaciół. - Co wy knujecie, nicponie?

- My? To pani klient wyglądał podejrzanie! - stwierdził z oburzeniem Pete.

Jupiter opowiedział krótko o skradzionych kuferkach, przedstawił hipotezy trójki detektywów i napomknął o współpracy z komendantem Reynoldsem.

- Wybieramy się na miejsce wypadku, ciociu. Chcemy odnaleźć tajemniczą walizeczkę.

- Ależ, Jupiterze, mam dla was pilną robotę!

Szefowi agencji zrzęda mina. Spoglądał na ciotkę Matyldę tak żałośnie i ponuro, że zmiękło jej serce.

- Zgoda, możesz iść. Przecież musicie pomóc komendantowi - oznajmiła.

Detektywi odjechali na rowerach.

ROZDZIAŁ 7

Rozwiązana zagadka

Jasny dom - trzeci licząc od narożnego budynku - stał w głębi posesji otoczonej białym płotem z drewnianych palików. Do niedawna za niskim ogrodzeniem znajdował się piękny ogród różany oraz starannie utrzymany trawnik. Gdy przybyli tam detektywi, teren wyglądał jak po przejściu trąby powietrznej: płot był przewrócony, cztery krzaki róż zostały wyrwane z korzeniami, a trawnik zryty kołami samochodu.

Jupiter nacisnął dzwonek. W drzwiach białego domu stanęła kobieta o siwych włosach i nieprzyjaznym wyrazie twarzy. Rzuciła chłopcom ponure spojrzenie i przeniosła wzrok na zniszczony ogród.

- Czego tu chcecie, dzieciaki? - rzuciła opryskliwie. - Mam zbyt wiele kłopotów, by zaprzętać sobie głowę problemami takich smarkaczy jak wy!

- Chcielibyśmy porozmawiać o szkodach wyrządzonych w pani ogrodzie przez tego wandala - odparł Jupiter wyjątkowo uprzejmie. - Przyjechaliśmy tutaj...

- Wie pani, kto to zrobił? - przerwał zniecierpliwiony Pete.

- Nie będę marnować czasu...

- Naturalnie, ma pani rację - przerwał Jupiter, kopiąc w kostkę Drugiego Detektywa. - To ogromna strata! Takie piękne odmiany! "Queen Elizabeth" i "Abraham Lincoln", jeśli się nie mylę.

- Hodujesz róże, młody człowieku?

Miłośniczka szlachetnych kwiatów była zaskoczona.

- W porównaniu z panią jestem nowicjuszem - odparł skromnie Jupiter. Rozmówczyni detektywów rozpromieniła się nagle.

- Kierowca po prostu zwiął, prawda? - zapytał Jupiter, smutno kiwając głową nad połamanymi krzewami. - Cóż to za barbarzyńca zrobił takie spustoszenie w pani ogrodzie?

- Łobuz! Zawsze mówiłam, że tacy kurduple są złośliwi i podli. Odjechał bez słowa!

- Był niski? Miał na sobie pelerynę? - wypytywał z ożywieniem Jupiter.

- Tak. Chyba tak. Wyskoczył z auta, bo lękał się wybuchu. Silnik okropnie dymił. Po chwili facet uspokoił się, bez słowa wyjaśnienia usiadł za kierownicą i zwiął. Przejechał po różach i zwalonym płocie! Sąsiedzi daremnie próbowali go zatrzymać. Nikt nie zdążył zapisać numeru rejestracyjnego.

- Chyba ogromnie się spieszył. Może zostawił coś przed domem? Na przykład walizkę

- rzucił Jupiter obojętnym tonem.

- Nie zauważyłam - odparła ponuro właścicielka posesji. - Byłam oszołomiona. Wydarzenia nastąpiły tak szybko, a po chwili zbiegło się tu mnóstwo ludzi.

- Z pewnością kierowała nimi chęć niesienia pomocy. Dziękujemy pani za cenne wskazówki - dodał Jupe i skinął na przyjaciół. Cała trójka ruszyła przez spustoszony ogród w stronę ulicy.

- To był chyba ten sam człowiek - stwierdził Bob.

- Rzeczywiście wysiadł z auta - podkreślił Drugi Detektyw.

- Owszem - rzucił Jupiter. - Może sąsiedzi poszkodowanej udzielą nam dodatkowych informacji.

Minęli kolejną posesję. Jakiś mężczyzna podlewał trawnik, korzystając ze słonecznego poranka. Chłopcy podeszli bliżej.

- Przepraszam pana - zaczął Jupiter. - Czy możemy zadać kilka pytań dotyczących wypadku samochodowego, który miał miejsce w pobliżu? Prowadzimy śledztwo...

- Śledztwo? - Mężczyzna rzucił na chłopców podejrzliwe spojrzenie.

- Chodzi o referat, który mamy wygłosić w szkole - wtrącił pospiesznie Bob. - Na temat kierowców, którzy zbiegli z miejsca wypadku.

Jupiter zapominał czasami, że większość dorosłych z przymrużeniem oka traktuje nieletnich detektywów. Niektórzy w ogóle nie chcieli z nimi rozmawiać. Natomiast wzmianka o referacie potrzebnym do szkoły natychmiast rozwiązywała dorosłym języki! Mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

- To jest właściwe podejście do sprawy. Od dzieciństwa trzeba się uczyć szacunku dla prawa - stwierdził. - Cóż, niewiele się ode mnie dowiecie. Byłem w domu. Nagle ujrzałem przez okno samochód, który wpadł w poślizg i staranował płot sąsiadki. Spod maski wydobył się jasny dym. Kierowca wyskoczył w pośpiechu. Trzymał w ręku walizkę z narzędziami albo coś w tym rodzaju. Na pewno obawiał się pożaru. Na szczęście pękła tylko chłodnica. W każdym warsztacie można ją wymienić. Mała strata. Nim wybiegłem z domu, facet odjechał.

- A skrzynka z narzędziami? - zawołał Pete. - Co z nią zrobił?

- Nie mam pojęcia. Zbiegło się mnóstwo ludzi, gromada dzieciaków. Może Kastner z przeciwka powie wam coś więcej. Godzinami wysiaduje na werandzie.

Chłopcy podziękowali i ruszyli w stronę błękitnego domu po drugiej stronie ulicy. Na ganku siedział wiekowy mężczyzna.

- Znam pana Kastnera - oznajmił Pete, gdy podeszli bliżej. - Widuję go w kościele. Pomaga naszemu proboszczowi. - Chłopcy weszli na ganek. Pete uśmiechnął się do staruszka.

- Dzień dobry panu. Czy moglibyśmy porozmawiać...

- O wypadku sprzed kilku dni, zgadłem, Pete? - przerwał mu sąsiad, mrugając do chłopców porozumiewawczo. - Obserwowałem was. Trzej Detektywi prowadzą śledztwo, prawda?

- Owszem - powiedział z uśmiechem Pete. - Możemy porozmawiać?

- Wszystko widziałem, mój chłopcze. Co was interesuje?

- Kierowca zabrał podobno z auta walizkę z narzędziami - wtrącił Bob. - Zwrócił pan uwagę na ten moment? Czy na miejscu wypadku nie pozostał mały czarny kuferek?

- Oczywiście! Wspomniałem komisarzowi...

- Jakiemu komisarzowi? - przerwał Jupiter, mrużąc oczy.

- Zjawił się tu mniej więcej pięć mi nut po odjeździe datsuna - oznajmił pan Kastner. - Niziutki facet o chudej twarzy, w ubogim wytartym paletku. Rząd powinien stanowczo więcej płacić tym biednym policjantom. Komisarz pytał, czy nie zauważyłem stojącej na ziemi czarnej walizeczki. Powiedziałem mu zgodnie z prawdą, że widziałem, jak zabrał ją pewien chłopak. Był chyba w twoim wieku, może trochę starszy. Czasem widuję go na ulicy, ale nie umiem powiedzieć, gdzie mieszka.

- Co zrobił z walizką? - dopytywał się Bob.

- Wziął ją, odjechał w stronę domu Pete'a i zniknął mi z oczu. Opowiedziałem wszystko komisarzowi. Natychmiast tam popędził. Był mocno wzburzony. - Starszy pan zmarszczył brwi. - Dopiero teraz przypomniałem sobie, że przyszedł tu na piechotę. Nie zauważyłem radiowozu.

- Dziękujemy, panie Kastner - zawołał Pete.

Chłopcy ruszyli biegiem w stronę domu Crenshawów.

- Rzekomy komisarz był złodziejem, prawda, Juve? - stwierdził Bob, gdy skręcili za róg. - Udawał policjanta!

- Wrócił po walizkę! - dodał Pete.

- Pan Kastner powiedział mu nieopatrznie o chłopcu, który zabrał walizkę i odjechał na rowerze - przypomniał Jupiter. - Na tej podstawie złodziej przypuszcza, że zguba nadal znajduje się w tej okolicy.

- Tego właśnie nie rozumiem - Bob przystanął. Na jego twarzy pojawił się wyraz zakłopotania. - Na jakiej podstawie sądzi, że jego walizka nie została stąd wywieziona? Pan Kastner powiedział mu jedynie, że chłopak odjechał i już się nie pojawił. Kto wie, czy rowerzysta nie mieszka na drugim końcu osiedla!

- Musi być jakaś przyczyna... - zaczął niepewnie Jupiter.

- Kanalizacja! - zawołał nagle Pete. - Zapomniałem o remoncie kanalizacji!

Nieco dalej ulica była rozkopana na całej szerokości. Nawet chodniki zostały rozebrane.

- Ale dół! - stwierdził Bob. - Nikt się tędy nie przedostanie, nawet gdyby jechał na górskim rowerze. Skoro tamten chłopak skręcił w ślepą ulicę i już się nie pokazał, musi tu mieszkać.

- Pete - rzucił Jupiter - masz w sąsiedztwie rówieśników?

- Paru się znajdzie. Joey Marsh jest nowy. Mieszka cztery domy od nas - oznajmił Pete. - Aha, jeszcze Frankie Bender. Znasz go, Jupe. Ten drań zorganizował w szkole bandę i terroryzował uczniów młodszych klas.

- Pamiętam. Trzeba z nimi pogadać.

Drugi Detektyw poprowadził kolegów w stronę obszernego domu niedaleko posesji Crenshawów. Gdy Pete zadzwonił do drzwi, otworzyła mu uśmiechnięta kobieta. Chłopiec zapytał uprzejmie, czy Joey jest w domu.

- Nazywasz się Pete Crenshaw, prawda? - wypytywała pani Marsh. - Niestety, nie zastałeś mego syna. Joey jest w San Francisco u babci.

- Mogę wiedzieć, kiedy wyjechał, proszę pani?

- Prawie tydzień temu, chłopcze.

Trzej Detektywi podziękowali i ruszyli w stronę niskiego domu ocienionego drzewami.

- Pozostaje tylko Frankie Bender - stwierdził Pete, gdy szli w cieniu rozłożystych konarów. - Wcale nie mam ochoty gadać z tą kanalią, ale wygląda na to, że jedynie on mógł buchnąć walizeczkę.

- Uważajmy na słowa - ostrzegł Jupiter. - Lepiej, by nie nabrał podejrzeń.

Niespodziewanie spadł na chłopców deszcz liści. Coś gwizdnęło im nad głowami.

- Jakie licha...? - rzucił z irytacją Bob.

Ponownie jakiś przedmiot ze świstem przemknął tuż nad trójką przyjaciół. Wydawał się mały; był szybki jak pocisk. Strącał i dziurawił liście na swojej drodze. Raz jeszcze...

- Oj! - krzyknął Pete, chwytając się za nogę.

- Padnij! - krzyknął Bob.

Chłopcy zalegli na podjeździe. Niebezpieczne pociski gwizdały im nad głowami.

ROZDZIAŁ 8

Czarna walizeczka!

- Cha, cha, cha!

Szyderczy śmiech dobiegał z dachu, od strony garażu. Niski, barczysty chłopak w wieku Pete'a skrył się tam jak strzelec wyborowy. W ręku trzymał groźną procę.

- Buch, buch, buch! - krzyknął parszkając śmiechem. - Mogłem was tu wytluc jak króliki! Nie umiecie nawet znaleźć porządnej osłony, durnie. O rany, ale z was tłumoki!

Zirytowany Pete zerwał się na równe nogi.

- Niewiele brakowało, żebyś mnie poważnie zranił. Kość mogła pęknąć. Pociski wystrzelone z procy są bardzo niebezpieczne.

- Spokojnie, koleś - rzucił Frankie Bender. Sięgnął do torby zawieszanej na brzuchu, wyciągnął mały przedmiot i strzelił, celując w ziemię obok Pete'a. - Widzisz? Zwykła drewniana kulka. Zapamiętajcie sobie raz na zawsze, że jestem mistrzem w strzelaniu z procy. Chciałem was tylko nastraszyć. Uważaj teraz!

Bender napiął procę z całej siły i strzelił drewnianą kulką. Pocisk śmignął koło ucha osłupiałemu Pete'owi, który zbladł, lecz ani myślał się uchylić. Jupiter podszedł do garażu.

- Jesteś durniem do kwadratu, Frankie - oznajmił spokojnie. - Pewnego dnia zranisz kogoś. Napytasz sobie biedy. W kodeksie karnym jest mowa o strzelaniu z procy. Prawo zabrania takich zabaw.

- Stary! - zawołał Bender z wymuszonym uśmiechem. - Taki z ciebie mądrała, a nie znasz się na żartach?

- Śmieszny jesteś z tą marną procą! - rzucił z wściekłością Pete.

- Postanowiłem zawiadomić policję o twoich wybrykach - oznajmił stanowczo Jupiter. Bender przestał się uśmiechać i popatrzył spode łba na trójkę detektywów.

- Nie radzę, grubasie! Po co mieszać w to gliny? Wkroczyliście bezprawnie na moje podwórko. Jesteście intruzami, może nie? Bronię własnego terytorium!

- Lepiej poczytaj sobie w wolnej chwili kodeks karny! - poradził Bob, wybuchając szyderczym śmiechem. - Jesteś ciemny jak tabaka w rogu, Frankie.

- Nie próbuj nas przechytryć, Bender. Musiałbyś ruszyć głową, a taki wysilek może być dla ciebie tragiczny w skutkach - szydził Jupiter. - Chcemy odebrać czarną walizeczkę, którą zwędziłeś przed dwoma dniami podczas wypadku samochodowego. Oddaj ją z zawartością!

- Hej, skąd wiecie... - Bender umilkł. Małe oczka w nalanej twarzy zabłyśły chytrze. - Jaka walizka? Pierwszy raz o niej słyszę.

- Widziano, jak ją zabierałeś - burknął Pete.

- Pomyłka - upierał się Bender.

- Mamy świadków - oznajmił Bob.

- Czyżby? W takim razie dlaczego nie ma tu glin?

- Policja jeszcze nic o tobie nie wie - stwierdził Jupiter. - Posłuchaj uważnie, Bender. Kierowca czerwonego datsuna jest złodziejem! Zawartość walizeczki to jego łup. Wpakowałeś się w to bagno po uszy, stary.

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi - stwierdził Bender.

- Nie udawaj idioty - odparł Jupiter, z politowaniem kiwając głową. - Jeśli nawet unikniesz spotkania z policją, dopadnie cię złodziej. Ten facet jest gotów na wszystko, byle odzyskać walizkę. Prędzej czy później cię wytropi, a wówczas...

Frankie Bender rzucił Jupiterowi niespokojne spojrzenie. Przygryzł wargę. Potem wyprostował się butnie.

- Bzdury! Próbujesz mnie nabrać. Nie widziałem żadnej czarnej walizeczki. Wynocha z mojego terytorium, bo wezwę chłopaków z bandy!

- Skoro tak, my zadzwonimy na policję - odparł Jupiter.

- Nie uda ci się mnie zastraszyć, Jones! Sam wezwę policję, jeżeli nie opuścicie tej posesji.

- Złaż i powiedz nam to prosto w oczy! - zachęcił kpiąco Pete.

- Sam jeden. Bez chłopaków z bandy - dodał Bob.

Frankie poczerwieniał jak burak.

- Każ się wypchać! Odejdźcie stąd, i to już!

- Czas się wycofać - oznajmił Jupiter.

Bob i Pete niechętnie ruszyli za Pierwszym Detektywem, który pomaszerował ulicą w stronę podwórka Crenshawów, gdzie zostawili rowery.

- Chyba się nie poddamy, co, stary? - mruknął Bob. - Jestem pewny, że ten dureń ma walizkę.

- To nie ulega wątpliwości - mruknął Pete.

- Jasne - dodał Jupiter. - Nasza wizyta bardzo go zaniepokoiła. Moim zdaniem, gdy uzna, że wynieśliśmy się na dobre, pogna do swojej kryjówki, by sprawdzić, czy walizka jest na swoim miejscu.

- I wówczas mimo woli doprowadzi nas do tego schowka? - upewnił się Pete, gdy

przecięli jezdnię i znaleźli się koło jego domu. Jupiter skinął głową.

- Bardzo mu zależało, żeby się nas pozbyć. Był okropnie zdenerwowany. Teraz go korci, by sprawdzić, czy walizeczka nadal jest w kryjówce. Będziemy śledzić podejrzanego.

Detektywi zniknęli za płotem ogrodu Crenshawów, a potem ruszyli z powrotem podwórkami, wśród żywopłotów. Wkrótce byli już niedaleko domu Bendera. Znaleźli doskonały punkt obserwacyjny po drugiej stronie ulicy. Schowali się w gęstych krzakach rosnących między dwiema posesjami. Przemykali od drzewa do drzewa, niczym zwiadowcy na terenach zajętych przez wrogą armię, póki nie znaleźli się niemal przy chodniku. Przycupnęli w zaroślach, skąd mieli doskonały widok na dom Bendera po drugiej stronie ulicy.

Usiedli na ziemi, nie spuszczając z oka niskiego budynku. Po kilku minutach z garażu wyszedł barczysty chłopak. W pośpiechu wybiegł na ulicę.

- Jupe - szepnął Bob. - Idzie!

- Nie ma przy sobie walizki - mruknął Pete.

- Ruszamy za nim - polecił Jupiter. - Kryć się.

Masywny Frankie z procą wetkniętą za pasek ruszył ku wylotowi ulicy i skierował się w stronę oceanu. Detektywi podążali za nim, kryjąc się wśród ozdobnych krzewów oddzielających chodnik od ogrodów. Bender dotarł wkrótce na skraj miasta; trójka przyjaciół podążała jego tropem. Stanęli u stóp pustynnych wzgórz otaczających Rocky Beach.

Zdenerwowany Bender rozglądał się wprawdzie na wszystkie strony, ale jak większość ludzi nie umiał obserwować. Nic dziwnego, że nie spostrzegł śledzących go detektywów. Przeszedł na drugą stronę torów i zaczął się wspinać po stromym zboczu niskiego pagórka. Stok porastały cierniste krzaki oraz przysadziste dęby o wykrzywionych gałęziach i poszarzałych liściach. Trzej Detektywi szli wytrwale za Benderem, kryjąc się za drzewami. Gdy Frankie był w połowie drogi na szczyt, zniknął niespodziewanie w masie skłębionej zieleni.

- Gdzieś przepadł! - mruknął z rozpaczą Pete.

- Cicho - skarcił go Jupiter. - Może się przyczaił.

Szli wolno ku gęstym zaroślom. Gdy zbliżyli się do kaskady bujnych pnączy, padli na ziemię i podpełzli kilka jardów. Pete uniósł głowę i obserwował stok zza uschniętych krzaków.

- Jaskinia! - szepnął. - Pnącza zasłaniają wejście.

Detektywi czołgali się przez kłujące zarośla, nie zważając na ciernie szarpiące ubrania. Wkrótce leżeli u wejścia do ciemnej jamy. Wśliznęli się na czworakach do krótkiego

ciasnego korytarza. U jego końca otwierała się obszerna, mroczna grot. Przez chwilę czekali bez ruchu u wejścia.

Nie dostrzegli śledzonego chłopaka. Gdy ich oczy przywykły do półmroku, ujrzeli stoły i siedziska wykonane z drewnianych skrzynek, wytarte dywaniki na kamiennej podłodze, a na nich kilka śpiworów, latarki elektryczne, metalowe pudełka z ciastkami i cukierkami, słup przystanku autobusowego, zepsuty motocykl, dwoje samochodowych drzwi, elementy wojskowego umundurowania i mnóstwo innych rupieci.

- To mi wygląda na... - mruknął Pete.

- Kryjówkę! - wpadł mu w słowo Bob. - Znaleźliśmy tajną kwaterę bandy!

- Racja - szepnął Jupiter. - Tu Frankie ukrył swoje znalezisko. Nie chciał, by ktokolwiek wiedział o jego istnieniu. Uwaga, chłopaki, Bender na pewno jest w pobliżu.

Trzej Detektywi weszli do jaskini, skradając się ostrożnie wzdłuż kamiennych ścian. Dziesięć jardów dalej znajdowała się głęboka nisza. Chłopcy wyjrzeni zza rogu. Ich oczom ukazał się Frankie Bender na klęczkach. Pochylał się nad szerokim płaskim kamieniem. Na skale leżała otwarta walizka!

Bender usłyszał podejrzany szelest i odwrócił się natychmiast.

- Nakryliśmy cię - oznajmił tryumfalnie Jupiter.

Na twarzy barczystego chłopca pojawił się wyraz przerażenia, który w chwilę później ustąpił miejsca niebotycznemu zdumieniu.

- Zniknął!

Trzej Detektywi podeszli bliżej. Czarny kuferek, wyścielony grubym niebieskim aksamitem, był pusty!

- Miałem tu posążek - wyjąkał Frankie Bender. - Niesamowita postać! Idealny totem dla naszej bandy. Zupełny odlot.

- Opisz dokładnie statuetkę - polecił Jupiter.

Bender stanął z detektywami twarzą w twarz. Nagle osłupiał ze strachu, a jego oczy zrobiły się wielkie jak filizanki.

- Przypominał... - Frankie wyciągnął rękę, wskazując coś za plecami chłopców - to!

Detektywi odwrócili się natychmiast.

- Ojejku! - pisnął zdławionym głosem Pete.

U wejścia do jaskini ujrzeli tajemniczą bestię spotkaną na plaży.

Kosmaty potwór pobrzękiwał kośćmi i dzwonkami, tupał o kamienną podłogę. W szalonym tańcu zbliżał się ku czwórce przerażonych chłopców.

ROZDZIAŁ 9

W pułapce

Czterej chłopcy zdrętwieli ze strachu. Nie mieli pojęcia, jak zdołają umknąć z mrocznej jaskini. Potworna bestia sunęła w ich stronę tanecznym krokiem. Połyskiwały skośne czerwone ślepia.

Monstrum zagradzało swym ofiarom drogę do wyjścia. Frankie i Trzej Detektywi znaleźli się w pułapce!

- Jupe, co robimy? - krzyknął Bob.

- Nie mam pojęcia... - wykrztusił Jupiter.

Niespodziewanie inicjatywę przejął Frankie Bender. Miał wprawdzie złą sławę zatwardziałego łobuza, ale nie brakowało mu odwagi. Błady jak płótno sięgnął po procę, schylił się po kamyk i zaatakował nadchodzącą bestię. Kiedy pocisk uderzył w kosmate ciało potwora, rozległo się bolesne stęknienie. Bender podniósł z podłogi garść kamieni.

- Rzucajcie, chłopaki! - wrzasnął.

Pete i Bob natychmiast sięgnęli po większe kawałki skały i zasypali groźnego demona gradem pocisków. Bender strzelał z procy jak szalony. Ten atak jednak nie wyrządził potworowi większej szkody. Chroniło go długie futro. Wielki łeb bestii też zbytnio nie ucierpiał.

Zabrzmiał donośny ryk. Monstrum potrząsnęło głową. Krok po kroki podchodziło ku wystraszonemu chłopcom, którzy cofnęli się pod ścianę.

- Nie damy mu rady! - zawołał Frankie Bender.

Odrażająca bestia przysuwała się coraz bliżej, nie przerywając szalonego tańca.

Jupiter podbiegł do płaskiego kamienia, chwycił otwartą walizkę, obrócił ją wiekiem ku potworowi i podniósł wysoko rękę, w której trzymał spory kamień.

- Rozwałę to na kawałki! - krzyknął.

Monstrum stanęło w pół kroku! Skośne czerwone ślepia zwróciły się ku Jupiterowi. Potwór zamarł w bezruchu. Pierwszy Detektyw wpatrywał się w niego roziskrzonym wzrokiem.

- A więc rozumiesz, co do ciebie mówię - rzucił kpiąco.

- Chce zabrać posążek! - krzyknął Bob.

- To chyba oczywiste, nie? - wtrącił drżącym głosem Frankie Bender. - Wygląda na to, że on sam jest tą figurką! A może statuetka jest nim? Albo... wszystko mi się pomieszało!

Potwór zaczął podrygiwać w miejscu. Rozległo się brzęczenie dzwonek oraz grzechot kości wiszących na karku i u pasa. Potwór drżał, jakby poruszała nim od środka nieubłagana siła. Głuchy, przytłumiony głos odbił się echem w mrocznej jaskini:

- Strzeżcie się, nędzne karły. Świętokradców czeka zagłada.

Jupiter nadal trzymał kamień w ręce uniesionej nad walizką.

- Co to za posążek? Kim jesteś?

- Przemawia do was duch szamana Złotej Ordy - zabrzmiał głucho donośny głos. - Dostojny chan Złotej Ordy chce odzyskać Szalonego Demona!

- Szalony Demon? Chan? Złota... nie pamiętam, co to było - mamrotał Pete.

- Posążek Szalonego Demona? - mruknął w zadumie Jupiter, nie spuszczać bestii z oka. - Kim jesteś? Duchem mówiącym w naszym języku?

- Wszyscyśmy jednym, a każdy jest wszystkim: błękitnym niebem, złotym słońcem, bezkresnym stepem, ostrym mieczem i bujnym zbożem. Palimy ogniem, niszczymy wichrem. Biada wam!

Potężne ramię uniosło się w górę, wskazując płaski kamień. Buchnęły płomienie, podniósł się obłok jasnego dymu.

- Uwaga! - krzyknął Frankie Bender, odskakując w tył.

- Drzyjcie, karły! - zawodził jękliwie potwór.

Odrażająca bestia ponownie wzniosła ramiona. Przesłoniła ją ściana ognia i dymu. Płomienie szybko pełzły w stronę chłopców. Języki ognia i kłęby dymu zatrzymały się nie dalej niż pięć stóp od wysuniętego do przodu Pete'a.

- Wielki Chan żąda zwrotu swej własności!

Czwórka przerażonych chłopców cofnęła się pod ścianę jaskini. Potwór wyciągnął w ich stronę kosmate ramię i podszedł bliżej. Jupiter odrzucił trzymany w ręku kamień.

- Masz! - krzyknął. - Udław się!

Zatrzasnął walizkę i cisnął nią z całej siły w podrygującą bestię. Tajemnicze monstrum - rzekome wcielenie Szalonego Demona - wydało głośnie okrzyk i skoczyło ku walizce, która z łoskotem wylądowała na kamiennej podłodze i zapadła się w stertę rupieci.

- Zwiewamy, chłopaki! - wrzasnął Jupiter.

Nie musiał tego dwa razy powtarzać. Gdy Szalony Demon rzucił się w bok za walizką, niedoszłe ofiary minęły go, pędząc do wyjścia. Demon nie próbował ich zatrzymać. Szukanie czarnej walizeczki pochłonęło bestię bez reszty.

Chłopcy uciekali, potykając się o drewniane skrzynki. Stłoczyli się w niskim korytarzu i pełzli ku wyjściu.

Wypadli na zewnątrz, rozsuwając kolczaste gałęzie, które poszarpały im ubrania. Pierwszy biegł Frankie Bender, Jupiter włókł się na końcu, ciężko dysząc. Pędzili po zboczu, potykając się o kamienie i ślizgając na opadłych liściach. U podnóża góry wskoczyli do płytkiego zagłębienia w ziemi, ukrytego wśród zarośli. Dyszeli ciężko. Z trudem łapiąc oddech, nasłuchiwali, czy ktoś ich goni.

Wśród pagórków zapanowała cisza. Było upalnie.

- Nie zapominajcie, że na plaży zjawił się powtórnie, nie wiadomo skąd - ostrzegł zmęczony Pete. - Może powrócić całkiem niespodziewanie.

Chłopcy stłoczeni w płytkim jarze wciąż nasłuchiwali, ale nie doszły ich żadne niepokojące odgłosy. Po chwili wypełzli z kryjówki, by przeszukać teren u stóp pagórka oraz część stoku. Nie spostrzegli nikogo ani na zboczu wśród wyschniętej roślinności, ani między pnączami u wejścia do jaskini.

- Gdzie się podział ten...? Sam nie wiem, co to było - mruknął Frankie Bender.

- Nie mam ochoty tego dochodzić - odparł Pete. - Co o tym sądzisz, Jupe?

Pierwszy Detektyw milczał. Nie spuszczał z oka zarośli u wejścia do jaskini. Czekali w milczeniu pół godziny. Wreszcie Jupiter podniósł się i oznajmił:

- Musimy tam wrócić.

- Odbiło ci? - wrzasnął Frankie Bender. - Idźcie, ale beze mnie!

- Nie masz wyjścia, Bender - oznajmił stanowczo Jupiter.- W przeciwnym razie będziesz musiał opowiedzieć policji, jak zwinąłeś posążek.

Bender zmarkotniał, ale bez słowa ruszył po zboczu za trójką detektywów zmierzających ku jaskini. Wkrótce znaleźli się na miejscu. W grocie było ciemno i pusto. Czarna walizczką zniknęła. W miejscu, gdzie po raz ostatni widzieli Szalonego Demona, leżały dwie kupki białego popiołu. Pete dotknął ręką jednej z nich. Jasny pył jeszcze nie ostygł.

- Czy jest tu inne wyjście? - zapytał Jupiter.

- Nie - odparł Frankie Bender. - Jak Szalony Demon zdołał się wymknąć?

- Zmienił postać i wyleciał jako obłok dymu - stwierdził Pete.

- Sądzę, że zwiął, gdy stąd uciekaliśmy - oznajmił Jupiter. - Przez jakiś czas pędziliśmy na łeb, na szyję, nie oglądając się w ogóle.

- Tak czy inaczej - wtrącił się Bob - nie ścigał nas. Złodziej odzyskał statuetkę, a więc monstrum powinno zostawić nas w spokoju. Sprawa jest zakończona.

- Wręcz przeciwnie, stary - burknął Jupiter. - Jestem niemal pewny, że złodziej nie zabrał statuetki! Prawdopodobnie rozmyśla gorączkowo, gdzie jej szukać.

- Ale numer! - odparł Pete. - Jak na to wpadłeś?

- Szalony Demon z pewnością ma jakieś konszachty z myszowatym - wyjaśnił Jupiter.

- Gdyby złodziej wykradł statuetkę, Szalony Demon wiedziałby, że kuferek jest pusty! Najwyraźniej w ogóle nie przyszło mu to do kosmatego łba. W takim razie posążek zabrał ktoś inny. - Pierwszy Detektyw zwrócił się do Bendera: - Kto przychodzi do jaskini poza chłopakami z twojej bandy?

Osilek zawahał się na moment. Gdy niebezpieczeństwo minęło, wróciła mu pewność siebie.

- Ukradłeś walizkę, człowieku. Są na to świadkowie. Możemy ci narobić kłopotów - przypomniał chłodno Jupiter. - Jeśli będziesz z nami współpracował, zapomnimy o całej sprawie.

Frankie zrobił ponurą minę, ale skinął głową.

- Zagląda tu pewien stary włóczęga. To była dawniej jego grota. Kręcił się tu wczoraj. Dziś znalazłem w jaskini butelkę po winie.

- Jak się nazywa ten facet? - zapytał Bob.

- Nie wiem, ale łatwo go znaleźć. Ma około siedemdziesiątki, nosi białą brodę. Waży ze dwieście funtów. Ubiera się w kowbojskie buty i starą wojskową kurtkę.

- Pamiętaj, Frankie. Żadnych sztuczek - rzucił groźnie Jupe. - Chłopaki, idziemy!

Bender został w jaskini. Trzej Detektywi pospieszyli w dół po stoku i pognali z powrotem ku miastu, do domu Pete'a. Była pora obiadu, ale Jupiter nie myślał o jedzeniu.

- Włóczęga! - krzyknął. - Pete, czy pamiętasz tego dziwaka, który sprzedaje wujowi rozmaite starocie? Nosi ze sobą gitarę. Nazywa się Andy. Wujek Tytus uważa go za geniusza. To wolny ptak. Nigdzie nie zagrzeje miejsca. Zna wszystkich okolicznych włóczęgów. Po obiedzie przyjdźcie do Kwatery Głównej. Zadzwonimy w parę miejsc. Andy często tam bywa. Trzeba go namierzyć!

- Jasne, szefie - odparł Pete. - Co ci chodzi po głowie?

- Zamierzam odkryć tajemnicę Wielkiego Chana, Złotej Ordy i Szalonego Demona!

ROZDZIAŁ 10

Szalony Demon Batu-chana

- Drodzy przyjaciele - powiedział uroczyście Jupiter. - Oto Szalony Demon we własnej osobie.

Było wczesne popołudnie. Detektywi spotkali się ponownie w tajnej kwaterze.

Bob i Pete telefonowali, próbując się dowiedzieć, gdzie przebywa Andy - geniusz, dziwak i gitarzysta. Wszędzie zostawiali wiadomość, że Jupiter prosi, by wpadł do składu złomu i staroci Jonesów.

Byli w trakcie kolejnej rozmowy, gdy podniosła się kłapa w podłodze. Ujrzeni Jupitera dźwigającego wielką księgę. Pierwszy Detektyw był niezwykle ożywiony. Umieścił olbrzymie tomisko na biurku i natychmiast je otworzył, wskazując jedną z fotografii.

- Ciekawa statuetka! - zauważył Bob.

- To jest... potwór, który nas prześladowuje - jęknął Pete.

Fotografia przedstawiała niewielki posążek tańczącej postaci. Od podstawy do czubka głowy statuetka miała czternaście cali. Odlany z brązu i pokryty zielonkawą patyną tancerz stał na jednej nodze; druga była uniesiona w górę, a ramiona szeroko rozpostarte. Chłopcy poznali kosmaty łeb, rozłożyste rogi, zarzuconą na ramię wilczą skórę, owłosione ramiona i nogi. Wypisz, wymaluj bestia z plaży!

Bob odczytał tekst znajdujący się pod fotografią.

- Szalony Demon Batu-chana. Znaleziony w północnych Chinach pod koniec dziewiętnastego wieku; tam również nadano mu powyższą nazwę. Datowany na 1241 rok, opatrzony łacińskim napisem: "Chwała Dostojnemu Chanowi Złotej Ordy". Jest to z pewnością dzieło europejskiego rzeźbiarza. Przypisywano statuetce właściwości magiczne wykorzystywane dla dobra Batu-chana lub przeciwko niemu. Figurka przedstawia mongolskiego szamana okrytego wilczą skórą, w masce z rogami jaka; u pasa wiszą dzwonki, grzechotki, kości, wiązki traw i zboża, a ponadto korzenie symbolizujące moc natury. - Bob podniósł wzrok. - Niesamowite. Jupe, co to wszystko znaczy?

- Nasuwa się jeden wniosek. Statuetka jest bezcenna.

- Nie przypuszczałem, że brąz ma taką wartość - stwierdził Pete, spoglądając na fotografię.

- Nie w tym rzecz, z jakiego materiału została wykonana figurka, ale kiedy i dlaczego powstała. Demon mamrotał coś na temat Złotej Ordy. Przypomniałem sobie o profesorce

Hsiangu z uniwersytetu. Mój znajomy specjalizuje się w sztuce orientalnej. Gdy opisałem mu Szalonego Demona, natychmiast skojarzył fakty. Powiedział...

- Co to jest Złota Orda? - wtrącił Pete. - Dziwne określenie. Przypomina nazwy drużyn futbolowych. Kim był tajemniczy Batu-chan?

- Słyszałeś o Czyngis-chanie i Kubilaju?

- Coś mi się obilo o uszy - mruknął niepewnie Pete.

- To sławni władcy i wodzowie. Można ich porównać z Napoleonem lub Aleksandrem Wielkim. Kubilaj był cesarzem Chin, kiedy dotarł tam Wenecjanin Marco Polo.

- Chanowie pochodzili z Dalekiego Wschodu, ale nie byli Chińczykami, tylko mongolskimi koczownikami - tłumaczył dalej Jupiter. - Mongołowie to świetni jeźdźcy i doskonali wojownicy. Mieszkali w namiotach zwanych jurtami. Żyli w niewielkich plemionach. Niektórzy ich potomkowie nadal koczują. Obecnie część obszaru dawnej Mongolii należy do Chin.

- Dobra. Wiemy, że Mongołowie uwielbiali konie i walczyli jak lwy. A co z tą statuetką?

- Około roku 1206 Czyngis-chan zjednoczył kilka plemion, a właściwie je ujarzmił. Następnie ruszył na podbój świata! Dzieło wodza kontynuowali jego synowie i wnukowie. W rezultacie zawładnęli wielkim obszarem. Należały do nich wszystkie terytoria na północ od Indii, po Koreę na wschodzie i Węgry na zachodzie! Najechali i uzależnili Syberię, Chiny, Ruś, Persję oraz sporą część Europy Środkowej. Czyngis-chan miał kilku synów.

Sławę zyskali jego wnukowie Kubilaj i Batu.

- Twardziele! - wtrącił Pete. - Nawet imiona brzmią jak wojskowe komendy.

- Masz rację - przyznał Jupiter. - Zasługiwali na miano twardziel!. Bez litości mordowali wszystkich przeciwników. Batu-chan pokonał Rusinów i Węgrów. Rządził wschodnią częścią mongolskiego imperium. Nazwał swoje państwo Złotą Ordą. Mongołowie lepiej wojowali, niż rządzili, dlatego imperium szybko się rozpadło, ale Złota Orda istniała na terenach Rusi do 1480 roku.

- Bardzo ciekawie opowiadasz, ale wróćmy do statuetki - niecierpliwił się Pete.

- Poczekaj - ciągnął Jupiter. - Religia Batu-chana oraz jego wojowników to szamanizm. Mongołowie wierzyli, że skały, wiatr, niebo, ziemia i drzewa mają duszę. Tylko jeden człowiek mógł rozmawiać z duchami. Był nim szaman.

- Tak samo jak w plemionach indiańskich.

- Racja! Co więcej, Indianie przywędrowali do Ameryki z dawnych siedzib położonych w Azji. Czerwonoskórzy i Mongołowie mają zatem wspólnych przodków.

Profesor Hsiang zrobił mi prawdziwy wykład na temat szamanów. Większość z nich to utalentowani brzuchomówcy. Tańczyli podczas zaklinania duchów! Najpotężniejsi z szamanów umieli przywoływać bóstwa i demony. Podczas rytualnych tańców przywdziewali osobliwy strój, żeby duchy nie wiedziały, z kim mają do czynienia. Wkładali maski i zwierzęce skóry. Przypominali statuetkę z fotografii.

- Dlaczego posążek jest taki cenny? - zapytał Pete.

- To prawdziwy unikat. Nie ma drugiego takiego na całym świecie - odparł Jupiter. - Mongołowie nie tworzyli posągów. Istniały jedynie figury z suszonej gliny lub innych nietrwałych materiałów. Statuetka została wykonana rękoma europejskiego artysty. To jedyny ocalały posążek, który daje pewne wyobrażenie o sztuce mongolskiej. Prawdziwe arcydzieło!

- Jak się znalazł w Chinach? - wypytywał z ciekawością Bob. - Powiedziałeś, że należał do Batu-chana, który rządził na Wschodzie.

- Nikt tego nie wie. Profesor Hsiang twierdzi, że władca od czasu do czasu opuszczał swoje terytoria. Stolica imperium znajdowała się w Mongolii, w miejscowości Karakorum. Tam właśnie przybywali ruscy książęta, by złożyć hołd Wielkiemu Chanowi. W roku 1242 Batu musiał zaniechać dalszych podbojów i wyruszyć do Karakorum, aby po śmierci Wielkiego Chana uczestniczyć w wyborze nowego pana wszystkich Mongołów. Może zabrał statuetkę i pozostawił ją w ojczyźnie. Czterdzieści lat później Kubilaj podbił Chiny, został Wielkim Chanem i przeniósł mongolską stolicę do miasta, które dziś nazywa się Pekin. Zapewne powędrowała z nim magiczna statuetka. Nie sądzę, by udało się odtworzyć jej losy.

- Co było dalej?

- Przeczytaj drugi akapit, Bob.

Archiwista zajrzał do książki.

- Statuetka pozostawała w Chinach do wybuchu drugiej wojny światowej. Zaginęła podczas japońskiej okupacji. W roku 1956 pojawiła się w Londynie i została kupiona na aukcji przez amerykańskiego milionera H. P. Claya. Obecnie znajduje się w prywatnej kolekcji sztuki orientalnej.

- H. P. Clay? - mruknął w zadumie Pete. - Znany potentat naftowy, którego rezydencja znajduje się na Fernand Point? A zatem statuetka od lat jest w Rocky Beach! W takim razie złodziej...

- Skradł ją właśnie tutaj! - dokończył Jupiter. - Trzeba pomówić z panem Clayem!

Na wypadek gdyby w składzie złomu pojawił się Andy, chłopcy zostawili mu wiadomość u Konrada, jednego z dwóch braci rodem z Bawarii zatrudnionych u Jonesów. Sami zaś ruszyli na rowerach drogą prowadzącą wzdłuż oceanu.

- Jupe? - odezwał się Pete, gdy lawirowali między autami. - Wiemy już sporo o statuetce. A co z Szalonym Demonem, który nas prześladowuje?

- Część Mongołów nadal wyznaje szamanizm. Być może jakiś plemienny czarownik postanowił odzyskać statuetkę. Profesor Hsiang twierdzi, że Chińczycy również się o nią upominają. Sam prezydent pośredniczy w negocjacjach dotyczących zwrotu arcydzieła. Może szaman chce wyrzucić presję na rozmówców. Z drugiej strony...

- Mów dalej, Jupe! - niecierpliwił się Pete.

- W Mongolii silna jest wiara, że wszystko ma duszę - przypomniał szef detektywów.
- Być może prześladowuje nas duch figurki Szalejącego Demona.

- Nie powinienem ciągnąć tego tematu! - jęknął rozpaczliwie Pete.

Jupiter i Bob parsknęli śmiechem, ale im również tajemnicza afery nie dawała spokoju. W milczeniu jechali ku Fernand Point. Wkrótce droga zaczęła się oddalać od wybrzeża. Krajobraz był tu dziksy, teren pofałdowany, a wzgórza porośnięte lasem. Posiadłość otoczona wysokim metalowym płotem zajmowała obszar dwudziestu akrów. W zasięgu wzroku nie było żadnych budynków.

Żelazna brama stała otworem. Chłopcy jechali dalej krętą drogą. W końcu znaleźli się na skraju wielkiego trawnika i ujrzeli stojącą na jego przeciwległym krańcu rezydencję milionera. Był to duży piętrowy budynek w stylu kolonialnym z białymi ścianami, werandą z ciemnego drewna i dachem krytym czerwoną dachówką. W podłużnych oknach chłopcy dostrzegli ręcznie kute ażurowe kraty.

Jupiter podszedł do masywnych drzwi i nacisnął dzwonek. Po chwili na progu stanął dystyngowany starszy pan w liberii - lokaj właściciela rezydencji. Popatrzył surowo na chłopców.

- Czego sobie życzysz, młodzieńcze?

- Nazywam się Jupiter Jones, mój dobry człowieku - oznajmił Pierwszy Detektyw prawdziwie wielkopańskim tonem. - Chcę się widzieć z panem Clayem.

- Rozumiem - odparł lokaj. Na jego twarzy pojawił się nikły uśmiezek. - Z przykrością muszę powiadomić, że pana Claya nie ma w domu.

- To bardzo pilna sprawa - stwierdził z naciskiem Jupiter. - Czy mogę wiedzieć, gdzie znajdę pańskiego chlebobawcę?

- Z kim rozmawiasz, Stevens?

- Pan Jupiter Jones pyta o pańskiego ojca.

Obok lokaja pojawił się wysoki pogodny dwudziestolatek. Uśmiechnął się szeroko do chłopców.

- Tata wyjechał. Może ja się na coś przydam?
- Właściwie... - powiedział z wahaniem Jupiter.
- Chodźcie ze mną do biblioteki - zaproponował James Clay. - Możesz odejść, Stevens.

Lokaj skinął głową i natychmiast się oddalił. Wkrótce cała czwórka znalazła się w obszernym pokoju, od podłogi do sufitu wypełnionym książkami.

- Siadajcie, chłopaki. Tu możemy spokojnie porozmawiać - oznajmił Clay junior. - Z czym przychodzicie?

- Chodzi o Szalonego Demona, proszę pana - odparł Jupiter.

- Mówcie mi po imieniu. Nazywam się Jim - zaproponował młody mężczyzna. - Co się z nim stało?

- Został skradziony - oznajmił Pete krótko i wężłowato.

- Skradziony? - Jim z niedowierzaniem pokręcił głową. - Wykluczone. Widziałem go przed kilkoma dniami. Doskonale pamiętam, że...

- Statuetka została skradziona przedwczoraj - wtrącił Bob.

- Naprawdę? - Jim zerknął na chłopców podejrzliwie. - Trzeba to sprawdzić.

Poprowadził gości długim korytarzem w głąb rezydencji, do solidnych podwójnych drzwi. Otworzył je kluczem, który nosił zawieszony na łańcuszku. Cała czwórka stanęła na progu wielkiej sali. W półmroku rysowały się niewyraźne zarysy przedmiotów. Wśród nich chłopcy ujrzeli...

Przyczajone do skoku monstrum o wielkim kosmatym łbie, zwieńczonym porożem jaka, gapiło się na nich skośnymi czerwonymi ślepiami. Usta miało szeroko otwarte, a z ramion zwisała wilcza skóra!

ROZDZIAŁ 11

Twarzą w twarz!

- Monstrum! Jest... tam! - wykrztusił Jupiter.

Chłopcy wpatrywali się jak urzeczeni w straszliwą postać.

W ogromnej sali zrobiło się jasno.

- O co wam chodzi? Dlaczego stoicie jak słupy? - Jim Clay był wyraźnie zniecierpliwiony. Zerkał podejrzliwie na swoich gości.

- Szalony Demon! - Pete wyciągnął rękę. - Tam, widzisz...

Głos mu drżał. Pierwszy Detektyw nieufnie przyglądał się sprężonej do skoku postaci stojącej na niskim postumencie. Jim Clay podszedł bliżej i postukał w nią palcami. Powierzchnia była twarda, a dźwięk głuchy.

- Mylisz się - powiedział. - Szalony Demon to nazwa chińskiej statuetki z brązu, a tutaj stoi manekin ubrany w strój mongolskiego szamana. Mój tata zbiera orientalne dzieła sztuki i najciekawsze wytwory tamtejszego rzemiosła. Ten ubiór jest autentyczny, moi drodzy.

Jupiter z ociąganiem podszedł bliżej, wolno mijając niezliczone gabloty ze szkła. Dotknął ostrożnie niezwykłego stroju pokrytego grubą warstwą kurzu. Po chwili cofnął się, kiwając głową.

- Teraz dostrzegam różnice - oznajmił. - Rogi są krótsze, a ramiona okryte skórą niedźwiedzia, nie zaś wilka. Poza tym warstwa kurzu dowodzi, że od dawna nie ruszono tego eksponatu.

- Z czym porównujesz ten strój, Jupiterze? Widziałeś już podobny eksponat? - wypytywał Jim Clay.

- Chodzi o prawdziwego szamana albo zagadkową istotę noszącą jego ubiór. Nie wiemy, kto to jest - wtrącił Pete. - Czy twój ojciec ma tu więcej takich orientalnych kostiumów?

- Oglądacie jedyny egzemplarz w tej kolekcji. To prawdziwy unikat - odparł Clay junior.

- Nasz prześladowca wyglądał prawie tak samo - stwierdził Bob.

- Może Szalony Demon ożył za sprawą magicznego zaklęcia? - odparł z uśmiechem syn milionera. - Poszątek stoi tam, w oszklonej gablocie.

Popatrzył w głąb sali. Gablota była pusta!

- Statuetka zniknęła! - krzyknął Pete.

Jim Clay osłupiał. W chwilę później zaczął biegać po sali jak szalony. Wszystko było na swoim miejscu: figurki, broń, wazy, hełmy. Nie brakowało żadnego dzieła sztuki ani przedmiotu wykonanego rękoma orientalnych rzemieślników - z wyjątkiem Szalonego Demona!

- Nic nie rozumiem? Jak to się mogło stać,..? - odwrócił się nagle do chłopców. - Skąd wiedzieliście, że statuetka została ukradziona?

Chłopcy opowiedzieli mu historię zawikłanych poszukiwań. Clay junior słuchał z uwagą. Mierzył rozmówców badawczym spojrzeniem. Gdy relacja dobiegła końca, zaczął nerwowo spacerować po sali. Był ogromnie poruszony.

- Kradzież! I to wtedy, gdy kolekcja została powierzona mojej pieczy! Tata będzie wściekły. Statuetka jest bezcenna, a poza tym... - Przystanął na moment i pokiwał głową. - Mało wiem o sztuce Wschodu. Rzadko bywam w galerii i nie przyglądam się zbyt uważnie zgromadzonym tu eksponatom. Jak to możliwe, że rabuś dostał się do sali przez nikogo nie zauważony i umknął, nie pozostawiając żadnych śladów? Jestem studentem i dlatego po całych dniach siedzę w pokoju, kując do egzaminów, ale Stevens kręci się nieustannie po całym domu. Złodziej go przechytrzył. Również Quail... - Jim podbiegł do telefonu i przycisnął guzik. - Quail? Przyjdź natychmiast do galerii.

Powiadacie, że złodziej przez nieuwagę zgubił swój łup? - upewnił się, odkładając słuchawkę. - To bardzo utrudni poszukiwania. Nie mamy żadnej wskazówki. Tata na pewno zmyje mi głowę. Wyjechał przed tygodniem. Miałem się opiekować zbiorami w czasie jego nieobecności, a tymczasem...

Drzwi się otworzyły. Stał w nich jakiś mężczyzna. Jim ruszył w jego stronę.

- Ach, Quail, nareszcie. Prawdziwa katastrofa...

- To on! - krzyknął Pete, wytrzeszczając oczy.

Jupiter i Bob osłupieli. Stał przed nimi szczupły elegant w binoklach. Jim Clay wodził spojrzeniem od mężczyzny do chłopców.

- Co to ma znaczyć? Dlaczego tak się gapicie na Quaila?

- Jim, kim jest ten facet? - zapytał nieufnie Jupiter.

- Sekretarzem mego ojca. Nazywa się Walter Quail. Pomaga tacie pisać artykuły dotyczące eksponatów z kolekcji. Dlaczego pytasz?

- To on zatrzymał nas, gdy ścigaliśmy złodzieja. Potem zjawił się w motelu.

- Quail, co ty na to?

- Wszystko się zgadza. Zauważyłem niskiego człowieczka o szczurzej twarzy, który

włóczył się po parku wokół rezydencji. Wyglądał podejrzanie, więc postanowiłem go śledzić. Kiedy ci chłopcy powiedzieli mi o kradzieżach, pojechałem za nim do motelu. Niestety, tam go zgubiłem. Przeszukałem pokój, ale nic nie wzbudziło moich podejrzeń.

- Wiedziałeś, że Szalony Demon padł łupem złodzieja?

- Niemożliwe! - Quail sprawiał wrażenie zaskoczonego. Drgała mu lewa powieka. Popatrzył na pustą gablotę i oznajmił z wahaniem: - Tak, muszę przyznać, że niedawno spostrzegłem...

Jupiter nie odrywał wzroku od zaniepokojonego i speszzonego Quaila. Jim, nie kryjąc irytacji, natychmiast przerwał sekretarzowi ojca.

- Dlaczego nie przyszedłeś z tym do mnie? - burknął. - Dzwoniłeś na policję? Rozmawiałeś z ojcem?

- Jeszcze nie, Jamesie. Do tej chwili nie wspomniałem nikomu o popełnionej kradzieży. Zrozum, to bardzo delikatna sprawa.

- Masz na myśli Chińczyków? - mruknął Clay junior, zagryzając wargę.

- Ta sprawa może bardzo zaszkodzić twemu ojcu - stwierdził Quail.

- Musimy coś zrobić! - niecierpliwił się Jim Clay. - Zatrudnimy prywatnego detektywa!

- Nie sądzę, żeby takim ludziom można było zaufać - odparł sekretarz. - Pan Clay z pewnością nie chciałby rozszerzać kręgu osób wtajemniczonych w tę sprawę.

- Jim - wtrącił Jupiter - znamy prywatnych detektywów zajmujących się już sprawą kradzieży Szalonego Demona.

- Naprawdę? - odparł z niedowierzaniem syn milionera. - Co to za ludzie?

- My! - odpowiedzieli zgodnie Bob i Pete.

Jupiter wyciągnął z kieszeni wizytówkę i podał ją Clayowi. Młody człowiek oraz Walter Quail z uwagą popatrzyli na zadrukowany kartonik.

TRZEJ DETEKTYWI

Badamy wszystko

???

Pierwszy Detektyw Jupiter Jones

Drugi Detektyw Pete Crenshaw

Dokumentacja i analizy Bob Andrews

- Wynajęła nas klientka okradzona przez tego samego złodzieja - tłumaczył Jupiter. - Udało nam się częściowo rozwikłać sprawę, ale wiele pozostaje jeszcze do zrobienia.

- Bawicie się w policjantów i złodziei? - rzucił ironicznie Quail.

- Pokaż mu zaświadczenie, stary! - mruknął oburzony Pete.

Jim Clay odczytał następujący dokument:

Stwierdzam, że okaziele tego zaświadczenia są wolontariuszami. Przeszli niezbędne przeszkolenie i współpracują z miejskim komisariatem policji w Rocky Beach. Z góry dziękuję za pomoc okazaną Trzem Detektywom w prowadzeniu śledztwa.

Komendant policji

Samuel Reynolds

- Wygląda na to, że macie niezbędne uprawnienia, a poza tym sporo już wiecie o tej sprawie - oznajmił syn milionera, podnosząc wzrok. - To bardzo ważne, bo każda chwila jest na wagę złota. Gdybym szukał...

- Ależ to śmieszne, Jamesie! - zirytował się Quail. - Twój ojciec...

- Zaplanowaliśmy już kolejne posunięcie, Jim - przerwał Jupiter.

- Wpadliśmy na ważny trop.

Pierwszy Detektyw opowiedział o starym włóczędze.

- Podjąłem decyzję! - oznajmił Jim Clay. - Prowadźcie dalej to śledztwo. Nie mamy chwili do stracenia. - Zwrócił się do Waltera Quaila:

- Czy sądzisz, że lepiej zawiadomić policję?

- Nie, Jamesie, chyba masz rację - odparł z wahaniem wymuskany sekretarz i wyszedł z galerii. Jim Clay uśmiechnął się, odprowadzając go wzrokiem.

- Jim, jak długo Quail pracuje dla twego ojca? - zapytał Jupiter.

- Ponad dwa lata - odparł Clay. - Sądzisz, że...

- Złodzieje często mają wtyczkę - odparł ponuro Jupiter. - Widziałeś? Początkowo udawał, że nie ma pojęcia o kradzieży. Nagle zmienił zdanie.

- Zauważyłem - przytaknął Jim Clay. - To dziwne, że śledził przestępcę, ale nie próbował go zatrzymać. Czemu nie zadzwonił na policję? - Młody człowiek zmarszczył brwi.

- Z drugiej strony jednak to naprawdę bardzo delikatna sprawa. Tata wolałby utrzymać tę kradzież w sekrecie.

- Dlaczego? - zapytał Jupiter. - Czy chodzi o to, że chińskie władze domagają się zwrotu statuetki, a jej niespodziewane zniknięcie mogłoby spowodować poważny kryzys dyplomatyczny?

- Widzę, że myślicie jak profesjoniści - oświadczył Clay. - Wszystko się zgadza.

Chińczycy od dawna próbują odzyskać posążek Szalonego Demona, ale nasz rząd lekceważył ich zabiegi. Ostatnio politycy zmienili zdanie. Chcą nawiązać przyjazne kontakty z czerwonymi Chinami. Namawiają ojca, by zwrócił statuetkę. Tata wolałby ją zatrzymać. Kupił przecież arcydzieło w dobrej wierze. Problem w tym, że sam prezydent zaczął go namawiać do zmiany zdania. Tata w końcu ustąpił. Wyjechał do Waszyngtonu na spotkanie z Chińczykami. Zamierzał omówić szczegóły przekazania figurki. Wróci lada dzień i usłyszy, że zniknęła. Chińczycy natychmiast zaczną się awantuować. Wiadomo było, że tata ustąpił bardzo niechętnie.

- Trzeba odzyskać statuetkę - oznajmił stanowczo Jupiter.

- Słusznie - przytaknął Jim Clay. Nagle zmrużył oczy. - Chłopcy, jak wyglądał przestępca?

- Złodziej? Niski, szczupły. Chuda, jakby mysia twarz...

- Podobny do tego faceta? - Syn milionera pokazał ręką okno.

Za szybą ujrzeli pociągłą twarz o przenikliwych, bystrych oczach. Długie rude włosy spływały na ramiona, a całości dopełniała wystrzyżona w szpic hiszpańska bródka.

ROZDZIAŁ 12

Powrót złodzieja

Brodacz o bujnej czuprynie uśmiechnął się szeroko.

- To Andy! - krzyknął Pete, wymachując rękoma. - Hej, stary, drzwi są z drugiej strony!

Niesamowita twarz zniknęła. Po chwili Andy wkroczył do galerii, poprzedzany przez lokaja.

- Cześć, chłopaki - rzucił z uśmiechem. Nim Jupiter zdążył go przedstawić młodemu Clayowi, zaczął biegać od gabloty do gabloty. - O rany, ale kolekcja!

Andy, nie kryjąc zachwytu, krążył po sali.

- Autentyczny strój mongolskiego szamana! Patrzcie, waza z epoki Ming. Rany, prawdziwa! Cudowny gobelin! Jaki piękny lew z nefrytu! Wspaniały posąg Buddy! Same arcydzieła!

Andy miał około dwudziestu pięciu lat. Był wysoki i przystojny. Miał na sobie nie dopiętą indiańską koszulę z frędzlami, wytarte sztruksowe spodnie oraz mokasyny. Na plecach nosił gitarę. Z szyi Andy'ego zwisał duży srebrny medalion, który podskakiwał rytmicznie, gdy jego właściciel biegał po sali.

- Wspaniale! - oznajmił z zachwytem. - Po prostu cuda!

Jim Clay podejrzliwie spoglądał na dziwaczny strój i gitarę nieznajomego.

- Zna się pan na sztuce orientalnej, panie...

- Mam na imię Andy - odparł młody włóczęga.

- Nasz przyjaciel skończył historię sztuki! - podkreślił Jupiter.

- Najważniejsza jest dla mnie swoboda - oznajmił Andy, spoglądając zaczepnie na Claya juniora. - Nie chcę domu, auta, gratów, stałej pracy. Robię, co mi się podoba, i nie muszę się przed nikim tłumaczyć. - Jesteś synem H. P. Claya? Twojemu ojcu nie podobałyby się moje poglądy, jak sądzisz?

- Ojciec wiele osiągnął! - burknął syn milionera.

- Zależy, czego się pragnie - odparł Andy. - Popatrz na te wszystkie arcydzieła. Kiedyś służyły ludziom, a teraz są bezużyteczne. Jak można je zamykać w dusznej sali, ukrywając przed ludzkim wzrokiem?

- Są własnością mego ojca. Mamy na to dokumenty - burknął Jim Clay.

- Twój stary powinien oddać te cuda ludziom, którzy potrafią z nich zrobić właściwy

użytek - odparł Andy. Uśmiechnął się nagle. - Nie po to mnie wezwaliście, żebym wygłaszał odczyt. Jupe, o co chodzi?

Jupiter opowiedział Andy'emu o starym włóczędze, którego Frankie Bender widział niedawno w pobliżu jaskini.

- Znam go. Wołamy na niego Bosman - wyjaśnił Andy - bo chętnie nosi kurtkę podoficera marynarki wojennej.

- Wiesz, gdzie go można znaleźć? - wypytywał Jim Clay.

- Kto wie? - odparł Andy, zerkając podejrzliwie na chłopców. - Czego chcecie od Bosmana?

- Wynajęto nas... - zaczął Bob.

- Chwileczkę - przerwał syn milionera. - Chciałbym porozmawiać z chłopcami na osobności.

Andy był wyraźnie ubawiony nieufnością gospodarza, ale wzruszył tylko ramionami, odszedł na bok i z ciekawością oglądał dzieła sztuki.

- Słuchajcie uważnie - rzucił Jim konspiracyjnym szeptem. - Moim zdaniem nie należy mówić Andy'emu o posążku Szalonego Demona. Im mniej osób będzie wiedzieć, o co chodzi, tym lepiej.

- Andy na pewno odmówi pomocy, jeśli go nie wtajemniczymy. Musi wiedzieć, w czym rzecz - odparł Jupiter. - Stracimy mnóstwo czasu, próbując odnaleźć Bosmana na własną rękę.

- Sami się przekonaliście, że facet nie ma ani odrobiny szacunku dla mego ojca - oznajmił z wahaniem Jim. - Czy można mu zaufać?

- Na sto procent - odparł Jupe. - Jestem przekonany, że z radością nam pomoże, jeśli się dowie, na czym polega problem. Słyszałeś, co mówił niedawno o przekazywaniu dzieł sztuki prawowitym właścicielom.

- Zgoda - powiedział Jim z wymuszonym uśmiechem. - Macie wolną rękę.

Jupiter właściwie przewidział reakcję Andy'ego. Młody człowiek gotów był zrobić wszystko, byle odnaleźć statuetkę, która miała być zwrócona Chińczykom.

- Chyba zbyt pochopnie osądziłem twojego ojca - przyznał Andy. - Clay senior robi teraz dobrą robotę. Sądzicie, że mój bezdomny przyjaciel mógł widzieć statuetkę? Doskonale, poszukamy Bosmana!

- Gdzie go można znaleźć? - wypytywał Jim Clay.

- Nie wiadomo - odparł Andy. - Bosman chodzi własnymi drogami.

- Pojedziemy moim autem - zaproponował Jim, gdy wychodzili z domu. - Rowery

wrzucimy do bagażnika.

Samochód młodego Claya okazał się sporą furgonetką. Andy wziął na siebie obowiązki pilota. Wkrótce zajechali przed dworzec kolejowy, ale nie znaleźli tam starego włóczęgi. Nikt nie wiedział, gdzie się podziewa. Andy w zadumie kiwał głową. Ruszyli w stronę zakątka nazywanego przez okolicznych mieszkańców Rezerwatem.

- Lepiej zostawmy tę limuzynę gdzieś na uboczu - rzucił kpiąco Andy. - Mieszkańcy tego miejsca są dość podejrzliwi. Nie będą chcieli z nami rozmawiać.

Samochód pozostał w zaroślach na poboczu drogi, ale mimo to rekonesans wypadł marnie. Wszyscy zgodnie twierdzili, że Bosman nie pokazuje się ostatnio w Rezerwacie.

Pojechali w stronę plaży miejskiej. Na leśnym parkingu w tamtej okolicy chętnie zbierały się grupki włóczykijów i obieżyświatów. Tym razem Andy poszedł sam, lecz wrócił z niczym.

- Bosman zagląda często do obozowiska włóczęgów w pobliżu miejskiego wysypiska śmieci.

Clay junior ruszył drogą w głąb łądu ku brunatnym wzgórzom, gdzie leżało wysypisko. Dał się wyczuć charakterystyczny odór. W okolicy panował spory rozgardiasz. Wielkie spychacze zagarniały w jedno miejsce sterty śmieci, nad którymi fruwały setki mew. Wrzaskliwe ptaki chwytaly resztki jedzenia. Obozowisko znajdowało się po drugiej stronie drogi, w szerokiej, zarośniętej krzakami dolinie.

Poszukiwacze zostawili auto na poboczu i ruszyli polną drogą ku szałasom, w których nocowali bezdomni tułacze. Andy podszedł do grupki włóczęgów i zaczął rozmowy. Jeden z mężczyzn wskazał starą, wałącą się chałupę na skraju obozowiska. Andy skinął na Jima i chłopców, a następnie ruszył w tamtym kierunku. Stanęli u drzwi niskiej rudery. Andy pochylił się i wszedł do środka, a reszta pospieszyła za nim.

Gdy oczy przywykły do półmroku, ujrzeli staruszka leżącego na zniszczonym materacu. Miał zaniedbaną siwą brodę. Ubrany był w kurtkę bosmana i kowbojskie buty. Uniósł powieki i uśmiechnął się do Andy'ego. Pomachał ręką, w której trzymał kilka banknotów.

- Czas na krótką drzemkę, mój chłopcze - powiedział, zamykając oczy.

- Bosmanie, słyszysz mnie? - zapytał Andy. - Skąd wzięłeś forszę?

- Podzielę się z tobą, jeśli chcesz, synku - mruknął starzec, nie unosząc powiek. - Znalazłem coś. Miałem szczęście. Cicho, cichutko!

Jim Clay podszedł bliżej. Potknął się o pustą butelkę.

- Zabrałeś statuetkę z jaskini, stary! Gadaj, co z nią zrobiłeś!

Wystraszony Bosman natychmiast otworzył oczy. Andy poklepał go po ramieniu. Włóczęga uśmiechnął się i znowu przymknął powieki.

- Spokojnie. Nikt ci nie zrobi krzywdy. Chcemy się tylko dowiedzieć, co się stało z figurką. Sprzedałeś ją, prawda?

- Może niewielka sumka wzmocni pamięć Bosmana - rzucił Jupiter.

- Co za sumka? - Zaciekawiony staruszek otworzył oczy.

- Dziesięć dolarów - wtrącił pospiesznie Jim, wyciągając banknot z kieszeni. - Nie będziemy więcej pana nachodzić. Kto ma statuetkę?

- Znalazłem ją. W mojej jaskini. Wiecie, gdzie to jest. Wczoraj wieczorem - powiedział Bosman, kiwając głową w zadumie. - Rano sprzedałem. Handlarzowi staroci. Pamiętasz, Andy. Temu, co zawsze. Bierze od nas rupiecie. - Bosman zachichotał. - Tym razem wycygałem od niego aż dwadzieścia dolarów. Nieźle, co?

- Dwadzieścia dolarów? - jęknął osłupiały Jim Clay. - Gdzie jest ten antykwariat?

- W porcie. Właściciel nazywa się Fritz Hummer. Znosimy mu rozmaite starocie - wyjaśnił Andy.

- Miałem dostać dziesięć dolarów - przypomniał Bosman, wyciągając rękę.

Jim Clay podał mu banknot i ruszył ku drzwiom.

- Pociągnijcie faceta za język. Trzeba się dowiedzieć, czy ktoś prócz niego widział statuetkę. Wracam do furgonetki. Podjadę tutaj. Szkoda każdej chwili!

Syn milionera wyszedł z rudery. Andy zwrócił się ponownie do Bosmana, który z radosnym uśmiechem gapił się na pieniądze trzymane w zniekształconej reumatyzmem dłoni.

- Bosmanie, co jeszcze możesz nam powiedzieć o figurce?

- Czy ktoś pana o nią pytał? - wtrącił Jupiter.

Staruszek energicznie pokręcił głową. Nagle zamrugnął powiekami i sięgnął pod materac, jakby czegoś szukał. Po chwili wzrok jego padł na trzymany w ręku banknot. Włóczęga rozpromienił się natychmiast.

- Pomyśl, Bosmanie - dodał Andy. - Czy ktoś cię szukał?

Staruszek pokręcił głową. Ciężkie powieki opadły z wolna. Rozległo się chrapanie. Andy skinął na chłopców i wyszedł z nędznej chałupki. Bezdomni zerkali na nich z ciekawością, lecz po chwili zajęli się swoimi sprawami. Samochód jeszcze nie podjechał. Jupiter spoglądał w zadumie na rudę Bosmana.

- Ciekawe, czy właściciel antykwariatu zdaje sobie sprawę z wartości statuetki.

- Raczej nie, Jupe - odparł Andy. - Facet handluje głównie rupieciami i starzyzną.

Po chwili nadjechało auto podskakujące na wyboistej polnej drodze. Chłopcy i młody

włóczęga natychmiast wskoczyli do środka. Jim Clay ruszył z piskiem opon. Wrócił na autostradę i pomknął w stronę portu. Gdy wjechał do miasta, musiał zwolnić, bo ulice były zatłoczone. O tej porze w Rocky Beach wszędzie tworzyły się korki. Samochód pełził wolno w stronę nabrzeża.

Okazało się, że w pobliżu antykwariatu nie wolno parkować.

- Idźcie do sklepu, a ja tymczasem znajdę miejsce dla auta i wkrótce do was dołączę - zaproponował Jim. Gdy pasażerowie wysiedli, skręcił za róg.

Antykwariat mieścił się w pasażu handlowym przy bulwarze wiodącym do przystani jachtowej. Gdy Andy w pośpiechu mijał kolejne przecznice, chłopcy zerkali na jachty i migotliwe fale zatoki. Jakiś mężczyzna stał przed drzwiami antykwariatu, w głębi ulicy.

- Popatrzcie. To złodziej!

Trzej Detektywi nie mieli wątpliwości, że facet o szczurzej twarzy natychmiast ich wypatrzył. Miał na sobie charakterystyczną pelerynę. Gdy rzucił się do ucieczki, uniosła się jak ogromne skrzydła.

- Za nim! - wrzasnął Bob.

Pędzili wąską uliczką wśród sklepów i straganów ku zatłoczonej przystani.

- Tam jest! - Andy nie tracił z oczu filigranowego złodzieja.

Mężczyzna w czarnej pelerynie wbiegł na drewniany pomost prowadzący wzdłuż przystani. Wdrapał się na duży jacht i zniknął za nadbudówką.

Andy i jego przyjaciele popędzili za nim. Wkrótce byli na pokładzie. Pete wskazał otwartą klapę na dziobie.

- Odetnę mu odwrót - zawołał.

Jupiter, Bob i Andy popędzili do nadbudówki. Ani śladu złodzieja. Drzwi wiodące pod pokład, do kabin, były otwarte.

- Uważajcie, chłopcy - ostrzegł Andy, kiedy szli wolno po schodach równie stromych jak drabina. Ruszyli ku największej kabini. Po chwili z przeciwnej strony nadbiegł Pete.

- Nie widziałem złodzieja - oznajmił Drugi Detektyw.

- Chyba nas przechytrzył - stwierdził ponuro Jupiter. - Wciąż jest na pokładzie...

Rozległ się łoskot zamykanych drzwi. Zgrzytnął zamek. Chłopcy rzucili się do klapy stanowiącej wyjście na dziób. Staęli jak wryci, słysząc huk i chrobot. Na pokładzie zapanowała martwa cisza.

ROZDZIAŁ 13

Chciwy grubas

Wkrótce od strony pokładu dobiegł czwórkę uwięzionych poszukiwaczy głośny tupot. Jacht się zakołysał. Potem zapadła cisza. Zamknięci pod pokładem detektywi po prostu osłupieli.

- A to pech! - mruknął Andy. - Nieźle nas urządził.

- Na pewno przyczaił się w sterówce - rzucił ponuro Bob. - Niezły schowek. Facet nas przechytrzył.

- Raczej złapał w pułapkę - poprawił Jupiter. - Wprawdzie taki kurdupel wciśnie się bez trudu w każdą dziurę, ale moim zdaniem złodziej wszystko przemyślał zawczasu!

- Na szczęście wybrał dla nas komfortowe więzienie - oznajmił Andy, z uznaniem rozglądając się po luksusowej kabinie. Bliżej rufy mieściła się sypialnia połączona z salonem. Pod bulajami znajdowały się wyściełane poduszkami szerokie ławy przymocowane do wewnętrznej strony burt. Zapraszały do odpoczynku. W dzień można było na nich siedzieć, a nocą wygodnie spać. Przyśrubowany do podłogi stół otaczały lekkie krzesła. Kabina wyłożona była pięknie utrzymaną ciemną boazerią.

- Hej, spójrzcie na to! - zawołał Andy, wskazując wąskie przejście między sterówką a kabinami sypialnymi. Po obu stronach znajdowały się wąskie drzwi opatrzone wyraźnymi napisami: "do kantyny" oraz "na dziób". - Jest tam na pewno kuchnia i spiżarnia! Nie umrzemy z głodu! - Długowłosego brodacza zdjął z pleców gitarę, rozparł się wygodnie na ławie i zagrał kilka akordów. Po chwili odśpiewał starą żeglarską piosenkę, której pierwsze słowa brzmiały: "Ho, ho, ho i butelka rumu!"

- Andy, jak możesz zachowywać się tak niefrasobliwie, skoro jesteśmy w pułapce? Trzeba się stąd wydostać - rzucił z irytacją Pete.

- Którędy? Przez bulaje nie wyjdziemy. Są za małe. Spokojna głowa! Wkrótce ktoś nas wypuści. Właściciel łajby na pewno się tu pojawi. Wiesz co, Pete - rzucił pogodnie Andy.

- Robisz z igły widły.

- Słucham? - wykrzyknął oburzony detektyw.

- Nim dojdzie do katastrofy, zamartwiasz się na śmierć; wpadasz w czarną rozpacz, jeśli dzieje się coś złego, a gdy jest po wszystkim, zastanawiasz się w nieskończoność, jak można było uniknąć kłopotów. I co z tego, że jesteśmy w pułapce? Wykorzystaj okazję i odpocznij!

- Gadasz od rzeczy! - burknął Jupiter zirytowany niewczesnym optymizmem przyjaciela. - My tu sobie gadamy o sensie życia, a tymczasem złodziej wykrada statuetkę. Może zabrał już z antykwariatu Szalonego Demona? Trzeba się stąd wydostać, i to szybko.

- Ty jesteś szefem - rzucił pojednawczo Andy. - Co robimy?

- Bob, zajmiesz się bulajami. Otwórz je. Gdy ktoś podejdzie dostatecznie blisko, by cię usłyszeć, wrzeszcz na całe gardło. Pete, sprawdź klapę luku na dziobie. Andy, zajrzyj do kabin. Może znajdziesz wyjście awaryjne. Ja zobaczę, czy uda się wyważyć drzwi sterówki.

Pete jako pierwszy wywiązał się ze swego zadania. Wrócił do Jupitera, smutno kręcąc głową. Klapy były solidnie przyśrubowane do pokładu. Nie można ich było otworzyć od wewnątrz. Andy nie zdołał sforsować wejścia na rufę. Jupiter również nie miał dobrych nowin. Drzwi sterówki były solidnie zaryglowane.

- Jupe! - krzyknął nagle Bob wychylony przez bulaj po przeciwnej stronie. - Chyba mignął mi w tłumie Walter Quail, sekretarz Claya!

Wszyscy rzucili się do okien. W oddali, na bulwarze biegnącym obok przystani, ujrzeli znajomą sylwetkę znikającą co chwila za nadbudówkami jachtów. Jupiter i Pete zmrużyli oczy dla ochrony przed słonecznymi promieniami odbitymi od fal.

- Nie jestem pewny... - mruknął Pete. - Chyba to on.

- Ma na nosie binokle! Patrzy w naszą stronę! - argumentował Bob. - Rozejrzyjcie się, czy nie widać w pobliżu jego mercedesa. Chłopcy wyteżyli wzrok, szukając eleganckiej limuzyny na parkingu.

- Widzę samochód Jima - oznajmił Bob.

- Ciekawe, gdzie się podziewa ten Clay - mruknął zirytowany Pete.

- Facet w okularach już odchodzi - zawołał Jupiter. - Czy to na pewno Quail?

Żaden z jego towarzyszy niedoli nie miał w tej kwestii wyrobionego udania.

Andy dostrzegł na bulwarze znajomą postać.

- Patrzcie, to chyba Jim Clay, nie sądzicie? Wyszedł przed chwilą z bocznej ulicy.

- Hej, Jim! Tu jesteśmy! - Chłopcy otworzyli wszystkie okna i wrzeszczeli na całe gardło.

Clay był za daleko, żeby ich usłyszeć. Stał na ulicy przylegającej do jachtowej przystani i rozglądał się, nie wiedząc, dokąd pójść. Nagle otworzył usta. Chyba zaczął nawoływać. Dopiero gdy podszedł bliżej, detektywi usłyszeli jego głos.

- Jupiter! Bob! Gdzie jesteście? Pete?

- Tutaj! - wrzasnął Drugi Detektyw. - Na jachcie! - Wysunął się z okna i zaczął machać rękoma, by zwrócić na siebie uwagę Claya.

Jim pobiegł w stronę pomostu. Zniknął im z oczu. Na pokładzie rozległ się głośny tupot. Syn milionera zajrzał do kabiny przez okno.

- Jesteśmy zamknięci! - krzyknął Bob.

- Chwileczkę!

Ze sterówki dobiegło postukiwanie i zgrzyt. Wkrótce drzwi się otworzyły. Andy i chłopcy wbiegli po schodach. Jim Clay był zaniepokojony.

- Co się stało? - zapytał.

Opowiedzieli pokrótce o nieudanym pościgu.

- Złodziej pewnie już uciekł, zabierając ze sobą Szalonego Demona - dodał z rozpaczą Pete.

- Zaraz się przekonamy - rzucił ponuro Jim. - Stałem dość długo przed antykwariatem, ale nie zauważyłem przechodnia o fizjonomii odpowiadającej waszemu opisowi.

- Może zdążymy! - rzucił z nadzieją Jupiter.

Jim odwrócił się na pięcie i popędził w stronę bulwaru. Wpadli do antykwariatu jak burza. Był zwykły powszedni dzień. Tego południa w zagraconym sklepie kręciło się tylko paru turystów. Było tam mnóstwo tandetnych rupieci oraz starzyzny zbieranej na wyprzedażach i licytacjach.

Przy kasie siedział otyły mężczyzna w brudnym swetrze. Palił fajkę. W antykwariacie unosiła się woń marnego tytoniu. Grubas spoglądał z nadzieją na turystów przebierających w starociach. Nowych klientów powitał szerokim uśmiechem. Na widok Andy'ego mina mu zrzędła.

- Włóczęgów załatwiam po godzinach - burknął i dodał z irytacją:

- Dzieciaki też nie mają tu nic do roboty. Wynoście się!

- To jest sklep, człowieku. Każdy ma prawo wejść - odciął się Jupiter, rzucając grubasowi wyzywające spojrzenie. - Prawo zabrania dyskryminacji ze względu na wiek. Podejrzewam, że ma pan na sumieniu wiele podobnych przewinień. Oto nasza wizytówka.

Grubas osłupiał. Protekcyjny ton Jupitera całkiem zbił go z tropu. Andy uśmiechnął się drwiąco.

- Lepiej rzuć okiem na tę karteczkę, Fritz. Radzę ci liczyć się ze słowami.

Jupiter podsunął grubasowi zaświadczenie komendanta Reynoldsa, które potwierdzało, że Trzej Detektywi współpracują z policją jako wolontariusze. Arogancki właściciel antykwariatu pobladł w trakcie lektury, ale próbował nadrabiać miną.

- Nie mam nic na sumieniu, a dla smarkaczy...

- Moim zdaniem nie jest pan wcale takim niewiniątkiem, ale mniejsza z tym -

przerwał Jim Clay, podchodząc bliżej. - Nazywam się James L. Clay III. Czy mnie również pan stąd wyprosi?

- C... C... Clay? - wyjąkał Fritz Hummer. - Tego H. P. Claya...

- Jego syn - przerwał z irytacją Jim. - Możemy spokojnie porozmawiać?

Fritz Hummer energicznie pokiwał głową i wytarł w sweter brudne ręce.

- Oczywiście. Czym mogę służyć... panowie?

Podczas nieprzyjemnej wymiany zdań turyści pospiesznie się wynieśli. Sklep całkiem opustoszał. Pozostał w nim jedynie właściciel oraz poszukiwacze statuetki.

- Niech nam pan sprzeda figurkę, którą rano przyniósł tu Bosman. - Pete od razu przeszedł do rzeczy.

- Figurkę? - Hummer wydawał się zaskoczony. Oczy mu zabłyśły. - Chodzi o tańczącą postać z rogami? Ładny drobiazg.

- To niewiele warta rodzinna pamiątka - wtrącił pospiesznie Jupiter. - Jest u pana, prawda? Zapłacimy dobrą cenę.

- Cóż - zawahał się Hummer. - Trudna sprawa. Sprzedałem...

- To moja własność - przerwał zirytowany Clay. - Muszę ją odzyskać. Jasne? Ile pan chce?

- Odzyskać? - Grubas szeroko otworzył oczy.

- Statuetkę skradziono - wyjaśnił Andy - ale to nie jest sprawka Bosmana.

- Skradziono? - Hummer nie odrywał wzroku od twarzy Jima L. Claya. - Panu? Z kolekcji pańskiego ojca? Na pewno jest bardzo cenna. Problem w tym, że dałem za nią sto dolarów...

- Zapłacił pan tylko dwadzieścia - wtrącił opryskliwie Bob.

- Przyznaję, że nieco zawyżyłem sumę. - Fritz Hummer uśmiechnął się nieszczerze. - Kupiec ma prawo do prowizji, nie?

- Dostanie pan godziwą zapłatę - odparł Jim Clay. - Gdzie statuetka?

- Na zapleczu - odparł Hummer.

Poprowadził rozmówców do zagraconego pomieszczenia za sklepem. Nagle osłupiał.

- Statuetka zniknęła! - krzyknął, wskazując stół w pobliżu tylnych drzwi. - Stała tam!

- Złodziej ją wykradł! - zawołał Jupiter. Szybko podał rysopis przestępcy. - Czy taki klient odwiedził dziś pański sklep?

- Śmieszny człowieczek w pelerynie? - mruknął Hummer. - Wydaje mi się, że niedawno kręcił się tutaj.

- Jupe! Zamek u drzwi jest uszkodzony - oznajmił Pete.

Pierwszy Detektyw dokonał starannych oględzin, a następnie pchnął ciężkie wrota. Rozległo się głośne skrzywienie. Chłopiec wyjrzał na ulicę.

- Przypuszczalnie złodziej dostał się do sklepu od zaplecza, gdy siedzieliśmy zamknięci na jachcie - mruknął grobowym głosem Pete.

- Możliwe - odparł Jupiter.

- Fritz, czy ktoś mógł wejść tu ukradkiem ze sklepu? - zapytał Andy.

- Wykluczone! Mam oko na klientów. Uważasz mnie za durnia? Co za nieszczęście! Zostałem obrabowany! Straciłem wartościową statuetkę!

Wrócili do sklepu. Grubas narzekał głośno. Był niepocieszony; stracił szansę na wyłudzenie od Jima Claya znacznej sumy. Jupiter z roztargnioną miną wsunął dłoń do kieszeni.

- Zgubiłem pióro - oznajmił. - Przed chwilą miałem je w ręku. Sprawdzę na zapleczu.

Gdy wrócił, poszukiwacze statuetki opuścili sklep. Grubas mamrotał pod nosem, wyrzekając na zły los. Detektywi wraz z Andym i Jimem ruszyli nadmorskim bulwarem skąpanym w popołudniowym słońcu. Rudowłosy włączęga zachował pogodę ducha, ale Bob, Pete oraz syn milionera mieli ponure miny.

- Chyba wszystko stracone - mruknął z niedowierzaniem Jim Clay.

- Złodziej jest o wiele mil stąd - dodał Bob. - Na pewno ucieka do Meksyku.

- Kto wie? - odparł Jupiter. - Sądzę, że nawet jeśli postanowił zwiać, pojechał bez statuetki.

Reszta poszukiwaczy spoglądała na niego ze zdumieniem.

ROZDZIAŁ 14

Przebiegły demon

- Hummer kłamie - oznajmił Jupiter. - Z pewnością wie, gdzie znajduje się statuetka. Co więcej, jestem przekonany, że złodziej nie zdążył jej zabrać.

- Skąd ta pewność? - wypytywał Jim.

- Obejrzałem dokładnie tylne drzwi. To prawda, że zamek jest uszkodzony, lecz mimo to od dawna nikt tamtędy nie wchodził. Z trudem zdołałem otworzyć drzwi. Mocno zarysowały podłogę. Przedtem nie było tam żadnej rysy. Metalowa framuga była przeżarta korozją. Warstwa rdzy odpadła z farbą w chwili, gdy pchnąłem drzwi. Gdyby złodziej zakradł się tamtędy, na podłodze powinna być wyraźna krecha, a także okruchy skorodowanego metalu.

- Zgadza się - wtrącił Pete. - Z framugi posypało się mnóstwo rdzy.

- Hummer świadomie łął, lamentując, że statuetka została mu skradziona! Próbował nas oszukać i zwalić całą winę na złodzieja. Pamiętajcie, że próbował nam wmówić, jakoby sprzedał figurkę, ale szybko zmienił wersję? Szybko zrozumiał, że do jego rąk trafił wartościowy przedmiot. Widzieliście, jak mu oczy zabłyśły, gdy Jim dał do zrozumienia, że statuetka należy do jego ojca?

- Zachowałem się jak kompletny dureń - wtrącił ponuro Jim.

- Nie przeczę - odparł surowo Jupiter. - Tak czy inaczej Hummer nagle zmienił zdanie, czym od razu wzbudził moje podejrzenia. W czasie oględzin drzwi nabrałem pewności, że nikt się tamtędy nie wśliznął. - Chłopiec wyciągnął z kieszeni liniowaną kartkę.

- Wyrwałem to z księgi kasowej, w której Hummer notuje bieżące wydatki i wpływy. Zauważyłem ją, gdy antykwariusz pokazywał nam zaplecze sklepu. Przed wyjściem powróciłem tam na moment, by zajrzeć do jego notatek. Wyrwałem ostatnią stronę. Patrzcie, co tu jest napisane: figurka tancerza - sto dolarów.

- Sprzedał posążek! - krzyknął z oburzeniem Bob. - Podły łgarz!

- Jak się teraz dowiemy, kto ją ma? - krzyknął zrozpaczony Jim. - Powinniśmy go przycisnąć. Wszystko by wyśpiewał.

- Nic straconego - uspokoił Claya Jupiter. - O ile się nie mylę, nasz chciwy grubas czuje pismo nosem. Wie, że statuetka warta jest znacznie więcej niż sto dolarów. Będzie próbował ją odebrać. Pozostaje nam tylko obserwować sklep i czekać.

- Jupe ma rację - wtrącił Andy. - Nie sądzę, żebyśmy musieli długo tu sterczeć.

Młody włóczęga nie mylił się. Detektywi oraz ich pomocnicy wskoczyli do furgonetki. Jim zawrócił. Nieco później w drzwiach antykwariatu stanął opasły właściciel. Rozejrzał się, wsiadł do starego forda i odjechał. Poszukiwacze statuetki ruszyli za nim.

Auto Hummera zatrzymało się kilka mil dalej... przed chińską pralnią.

- Patrzcie! - Jim wolno minął budynek. - W oknie wystawowym stoją jakieś figurki.

- Tandetne kopie - rzucił pogardliwie Andy. - Zatrzymaj się...

Jim stanął za rogiem. Pete wysiadł i dyskretnie śledził Hummera. Mężczyzna wszedł do pralni. Drugi Detektyw podszedł bliżej. Niewiele brakowało, by zderzył się z grubasem, który nagle wypadł z budynku. Gdy Pete ukrył się za drzewem, reszta poszukiwaczy ujrzała tajemniczy pakunek pod ramieniem Hummera.

- Spokojnie. Facet po prostu odebrał bieliznę z pralni.

Rozczarowany Jim opadł bezwładnie na fotel.

- Trudno - pocieszał go Jupiter. - Życie codzienne ma swoje prawa.

Wkrótce ford ruszył w dalszą drogę. Jim trzymał się w bezpiecznej odległości. Grubas pojechał do centrum handlowego na przeciwległym krańcu miasta, u podnóża gór. Zaparkował i wszedł do restauracji. Andy zaproponował, że pójdzie za nim.

- Może cię zobaczyć! - protestował Drugi Detektyw.

- Nie sądzę - uznał Andy. - Sala jest zatłoczona. A gdyby nawet Hummer mnie zauważył, nie zdziwi go wcale to spotkanie. Nasze drogi często się krzyżują. Na widok Jima pewnie by się zdenerwował. Chłopcy są zbyt młodzi, by włóczyć się po restauracjach, a zatem pozostają tylko ja.

Andy wkroczył do lokalu z nieodłączną gitarą na plecach. Wrócił po kilku minutach.

- Hummer siedzi przy barze nad piwem i górą kanapek. Gada z właścicielem - oznajmił. - To może potrwać.

- Musi nas doprowadzić do nabywcy statuetki! To nasz jedyny trop - mruknął Jim Clay, zaciskając dłonie na kierownicy.

Andy oznajmił wkrótce, że jest umówiony i nie może uczestniczyć w dalszych poszukiwaniach.

Detektywi wydawali się zawiedzeni, ale Jim ze zrozumieniem pokiwał głową i skwapliwie podziękował ich przyjacielowi za pomoc.

- Oby dopisało wam szczęście - powiedział Andy i dodał, mrugając porozumiewawczo do Pete'a: - Zapamiętaj dobrze moje słowa. Więcej luzu!

Uśmiechnięty włóczęga oddalił się bez pośpiechu.

- Więcej luzu! - mamrotał rozdrażniony Pete. - Za dużo wali mi się na głowę, żebym

mógł sobie pozwolić na luz.

Jupiter i Bob parsknęli śmiechem. Usadowili się wygodnie i czekali, aż Hummer opuści restaurację. Jimowi brakowało cierpliwości doświadczonych detektywów. Wzdychał raz po raz i wiercił się niespokojnie.

Oczekiwanie nie trwało długo. Hummer wyszedł z restauracji i wszedł do auta. Stary ford zmierzał w stronę wzgórz. Zatrzymał się w porośniętym bujną roślinnością wąwozie przed obszernym domem w wiktoriańskim stylu. Pete został w furgonetce, natomiast Jupiter, Bob i Jim klucząc wśród zarośli, podeszli pod okna ozdobione wieżyczkami budynku. Przez szybę ujrzeli Fritza Hummera pogrążonego w rozmowie z bladym wysokim brunetem o długim nosie. Mężczyzna nosił czarne ubranie. Wydawało się, że w jego żyłach nie ma ani kropli krwi.

- Ale numer! - szepnął Bob. - Co za szczęście, że nie ma z nami Pete'a. Tamten facet wygląda jak prawdziwy wampir!

- Wypisz, wymaluj książkę Drakula! - przytaknął Jupe.

Czarne oczy nieznanego przy trupio bladym obliczu sprawiały wrażenie ciemnych jam. Mężczyzna słuchał z uwagą wywodów Hummera. W końcu skinął na grubasa. Obaj zniknęli w sąsiednim pokoju. Jim i chłopcy okrążyli dom. Niestety, zasłony w oknie były zaciągnięte. Poszukiwacze statuetki zajrzeli jeszcze przez szyby z innej strony, ale pokoje były zupełnie puste. Nic więcej nie mogli zrobić. Wrócili do furgonetki. Kilka minut później w drzwiach pojawił się Fritz Hummer.

Nie miał przy sobie żadnej paczki. Wkrótce stary ford ruszył boczną drogą.

- Wygląda na to, że Hummer nie odebrał statuetki - oznajmił Pete, gdy jechali za sfatygowanym autem.

- Zapewne - powiedział z roztargnieniem Jupe.

- Mógłbym przysiąc, że widziałem już tamtego faceta z twarzą wampira - mruknął Jim Clay.

- Jasne. W filmie! - odparł Bob.

- Nie. Spotkałem go naprawdę. Nie mogę sobie przypomnieć... - mamrotał zadumany syn milionera. Umilkł i dodał gazu.

Fritz Hummer zawrócił w stronę portu. Wkrótce zaparkował przed sklepem, ale nie wszedł do środka, tylko wspiął się po zewnętrznych schodach na pierwsze piętro. W oknach pojawiło się światło. Grubas mieszkał nad antykwariatem.

- Zgubiliśmy trop - mruknął Pete. - Hummer nie odzyskał statuetki.

- Masz rację - odparł ponuro Jupiter. - Byłem przekonany, że będzie próbował ją

odkupić...

- I miałeś rację! - wykrzyknął nagle Jim Clay. - Przypomniałem sobie, kim jest tamten facet o twarzy wampira. To Jason Wilkes.

- Czym się zajmuje?

- Handluje dziełami sztuki. Nie ma żadnych skrupułów. Stracił członkostwo renomowanego stowarzyszenia z powodu kilku podejrzanych transakcji. Dwukrotnie był oskarżony o sprzedawanie falsyfikatów. Sporo wie o sztuce Dalekiego Wschodu. Proponował ojcu swoje usługi. Zjawił się u nas, ale tata pokazał mu drzwi.

- Ciekawe. - Oczy Jupitera rozjaśnił dziwny blask. - Niewątpliwie umiałby oszacować prawdziwą wartość statuetki znalezionej w rupieciarni Fritza Hummera. Nie zaprzętałby sobie głowy dochodzeniem, skąd się tam wzięła.

- Czegoś tu nie rozumiem, Jupe - wtrącił Pete. - Jeżeli statuetka jest u Jasona Wilkesa, dlaczego Fritz Hummer jej nie zabrał?

- Przychodzi mi do głowy kilka ewentualności. Może Wilkes nie chciał odstąpić antykwariuszowi figurki albo natychmiast ją komuś sprzedał. Równie prawdopodobne jest, że Hummer nie chciał paradować po mieście z bezcennym arcydziełem pod pachą albo zabrakło mu forsy, by za nią zapłacić.

- Nasuwa się i taka możliwość, że Wilkes w ogóle nie jest zamieszany w tę sprawę - dodał ponuro Jim Clay. Wkrótce znowu poweselał. - A może ci faceci zastanawiali się, jak ubić interes bez szkody dla którejś ze stron?

- Wspaniale! - krzyknął zniecierpliwiony Pete. - Tylko co nam z tego przyjdzie?

- Może po prostu zapytamy Wilkesa, czy ma statuetkę - podsunął Bob.

- Nie, taki numer nie przejdzie - odparł Jim. - Trzeba się najpierw upewnić, czy naprawdę jest zamieszany w tę sprawę. Lepiej nie wtajemniczać pochopnie zbyt wielu osób.

- Chyba powinniśmy się rozdzielić - oznajmił Jupiter. - Trzeba śledzić zarówno Wilkesa, jak i Hummera.

- To samo przyszło mi do głowy - stwierdził Jim. - Kłopot polega na tym, by zsynchronizować działania. Jak będziemy utrzymywać kontakt?

- Mamy krótkofalówki! - oznajmił Bob. - Sporo się ich zebrało w naszej kryjówce.

- To urządzenia o niewielkim zasięgu. Co zrobimy, gdy podejrzani wyruszą na dłuższą wyprawę? - niepokoił się Jim. - Trzeba wymyślić system znaków, abyśmy w razie potrzeby mogli się łatwo odnaleźć.

- Spokojna głowa - odparł Jupiter. - Każdy z nas dostanie kawałek barwnej kredy i będzie znaczył trasę. Proponuję, by umówionym sygnałem był znak zapytania. Można go

narysować w mgnieniu oka. Nie zwraca uwagi. Problem w tym - mruknął z ponurą miną - że trudno robić znaki, jadąc autem.

- Później o tym pomyślimy. Na wszystko znajdzie się sposób - stwierdził Jim, bagatelizując jego wątpliwości. Przytknął ucho do szyby. - Hummer interesuje się sportem. Słyszę odgłosy meczu piłkarskiego. To chyba zapalony kibic. Przez jakiś czas nie ruszy się stąd. Zapewne w domu czekają z obiadem, co, chłopaki? Podwiozę was, a przy okazji zabierzemy krótkofalówki i kredę. Wrócę tutaj, żeby śledzić Hummera, a wy pojedziecie rowerami do domu Wilkesa i będziecie mieć na niego oko. Dacie mi znać, jeżeli coś się wydarzy, a ja będę was informować, co robi Hummer.

- Drzyj, Szalony Demonie! - wykrzyknął zuchowato Pete. - Wkrótce cię dostaniemy!

Późnym popołudniem Trzej Detektywi zajęli stanowiska w zaroślach koło domu Jasona Wilkesa. Pete i Jupiter ulokowali się po obu stronach budynku, w pobliżu frontu. Kryjówka Boba znajdowała się blisko drogi - na wypadek, gdyby Wilkes miał godnych zainteresowania gości.

Jupiter wezwał Jima Claya przez krótkofalówkę:

- Nic się tu nie dzieje. Auto Wilkesa stoi w garażu. Na parterze pali się światło, ale nie widać żadnego ruchu.

- U mnie też panuje spokój - rozległ się stłumiony głos Jima. - Hummer ogląda mecz w telewizji. Zaczęła się druga połowa.

- Sądzę, że przyjdzie nam trochę poczekać - mruknął Jupiter. - Będę się do ciebie odzywał co pół godziny.

Trzej Detektywi obserwowali dom. Zapadał zmierzch. Na niebie migotały już gwiazdy; księżyc wyraźnie ubywało. Ruch zamarł na drodze. Jason Wilkes mieszkał na pustkowiu. W lesistym wąwozie zrobiło się zupełnie ciemno. Juve i Pete podpełzali co pewien czas do budynku i próbowali zajrzeć do środka przez szpary między zasłonami. W domu panował całkowity bezruch.

- Zbliża się jakiś samochód! - doszedł ich po godzinie głos Boba.

Detektywi byli gotowi do działania. Auto minęło dom i ruszyło w głąb wąwozu, gdzie ślepa droga ginęła w zaroślach. Kierowca zawrócił i ruszył z powrotem.

- Fałszywy alarm - rozległ się głos Boba. - Ktoś zabłądził.

Czas mijał. Jim zameldował, że mecz się skończył, ale Hummer nie wyszedł z domu. Robiło się późno, a tymczasem obserwowanie podejrzanych nie dało żadnych rezultatów. Nagle usłyszeli w krótkofalówkach głos Pete'a ukrytego po drugiej stronie domu:

- Ch... Chłopaki! Coś się tu rusza! Nie widzę dokładnie... Chwileczkę... O rany! To potwór! Szalony Demon! Widziałem jego łeb!

Zapadła cisza.

- Pete? - zawołał Jupiter, starając się nie podnosić głosu. - Idę do ciebie.

- Drugi, jesteś tam? - wypytywał zaniepokojony Bob.

- Co z Pete'em, chłopcy? Widzicie go? - rozległ się w krótkofalówce głos Jima.

- Potwór zniknął - usłyszeli znowu Crenshawa juniora. - Zaglądał do okien, a potem uciekł w głąb wąwozu. Czyżby wiedział, że statuetka jest w tym domu?

- Oczywiście! - wtrącił Jim. - Nie ruszajcie się stamtąd. Już do was jadę!

ROZDZIAŁ 15

Sukces i klęska

- Odszedł - stwierdził drżącym głosem Pete.

Jupiter i Bob wśliznęli się między krzaki, pod którymi przycupnął skulony chłopiec. W świetle księżycy ujrzeli jego bladą twarz.

- Zachowajmy ostrożność - radził Jupiter. - Nie wiadomo, skąd może nadejść potwór.

Wokół ogromnego domu panowała martwa cisza. Detektywi z niepokojem wpatrywali się w ciemność.

- Gdzie go ostatnio widziałeś, Pete? - wypytywał Jupiter.

- Pod domem. Wkrótce zniknął w głębi wąwozu... albo ukrył się za rogiem budynku.

- Skąd przyszedł? - wypytywał dociekliwy Bob.

- Chyba... Sam nie wiem. Zmaterializował się całkiem niespodziewanie. Ujrzałem go pod ścianą, zupełnie jakby...

- Chcesz powiedzieć, że przeszedł przez mur? - dokończył z niedowierzaniem Bob. - Jak... duch?

- Tego nie powiedziałem - zastrzegł się Pete.

Bob popatrzył na ciemny, ponury budynek.

- Jupe, czy twoim zdaniem Jason Wilkes może być Szalonym Demonem?

- Zastanawiałem się nad taką ewentualnością - przyznał Jupiter.

- Po co miałby się tak wygłupiać? - wypytywał zdziwiony Pete. - Wszystko wskazuje na to, że ma już statuetkę.

- Właśnie dlatego, że ją zdobył - tłumaczył Jupe - uczyni wszystko, by odstraszyć i zniechęcić tych, którzy mogą wpaść na trop arcydzieła. Handluje dziełami sztuki, a zatem wie, co trafiło do jego rąk. Zdaje sobie sprawę, ile warta jest statuetka. Nie wykluczam, że złodziej w czarnej pelerynie również ma jakieś konszachty z Wilkesem. Być może chciał mu sprzedać swój łup. Zapewne od tamtej pory nieuczciwy handlarz dzieł sztuki próbuje nas zniechęcić do prowadzenia śledztwa. Prześladowuje niewygodnych świadków.

Detektywi czekali w ciemnościach, ale Szalony Demon więcej się nie pojawił. W trójkę okrążyli dom. Nie dostrzegli żadnego ruchu - ani w środku, ani na zewnątrz.

Po kilku minutach nadjechał Jim Clay. Zostawił furgonetkę na drodze i wolno podszedł do wiktoriańskiej budowli.

- Jupe? Pete? Bob? - dobiegł chłopców jego szept.

- Tu jesteśmy - rzucił półgłosem Jupiter, wyglądając z kępy przydrożnych zarośli. Opowiedział Jimowi, co się wydarzyło, i przedstawił teorię dotyczącą Jasona Wilkesa oraz jego powiązań z Szalonym Demonem.

Syn milionera przez chwilę spoglądał w ciemne okna domu. Oczy mu zabłyśły.

- Jupiterze, przyszła mi do głowy pewna myśl. Jeżeli to Wilkes jest owym straszylem, które przed chwilą gdzieś polazło, w takim razie dom jest pusty - perorował młody człowiek. - Czy widzieliście kogokolwiek po zniknięciu Szalonego Demona?

- Nie - odparł Pete. - Rzecz w tym, że i przedtem nikogo tu nie było. Monstrum zmaterializowało się całkiem niespodziewanie, zupełnie jak widmo.

- Proszę, i kto teraz mówi o duchach! - wtrącił uszczypliwie Bob.

- Moim zdaniem Szalony Demon to istota żywa i na wskroś ludzka. Jestem o tym przekonany.

- Obyś miał rację - mruknął Jim Clay. - Skóra mi cierpnie, chociaż nigdy go nie widziałem. Wasz opis idealnie pasuje do statuetki. Co więcej, mój tata opowiadał, że mongolskie wierzenia przypisują duszę wszelkim bytom.

- Jesteśmy tego świadomi - wymamrotał markotny Pete.

- Mniejsza z tym, czy to duch, czy żyjąca istota. Dla nas ważne jest, że potwór się stąd wyniósł. Jak sądzisz, Jupiterze, co powinniśmy teraz zrobić?

- Miałeś dobry pomysł, Jim. Trzeba przeszukać dom.

- Mamy tam wejść? - jęknął cicho Pete.

- To jedyny sposób, stary - przekonywał Jupiter.

- Po co ten pośpiech? - odparł Bob. - Może lepiej wezwać komendanta Reynoldsa.

- Minie sporo czasu, nim się tu zjawi - argumentował Jim. - Poza tym nie mamy pewności, czy statuetka rzeczywiście jest w tym domu. Mój ojciec na pewno nie zawracałby sobie głowy szukaniem glin, jeśli nadarzyłaby się okazja szybkiego odzyskania figurki.

- Przekonaliście mnie. Skoro Szalony Demon najwyraźniej poszedł swoją drogą, warto spróbować. Idźcie. Będę stał na czatach - oznajmił Pete.

- Dobry pomysł - stwierdził Jupiter. - Jeżeli ktoś się tu pojawi, zacznij śpiewać.

- Usłyszają mnie na drugim końcu miasta!

Trójka poszukiwaczy ruszyła w stronę ciemnego domu. Jim bez trudu znalazł nie domknięte okno. Wystarczyło lekko popchnąć, by framuga ustąpiła. Poszukiwacze wspięli się na parapet. Gdy oczy przywykły do mroku, ujrzeli salę równie wielką jak galeria pana Claya. Było tam mnóstwo szklanych gablot, szaf oraz majaczących w ciemności przedmiotów.

- Jupe! - szepnął nagle przerażony Bob. - Tam!

Ujrzeni dziwną lwią głowę osadzoną na potężnym ludzkim ciele. Jupiter i Bob chcieli wziąć nogi za pas, ale zawstydzili się, gdy Jim Clay śmiało stanął twarzą w twarz z tajemniczą postacią.

- To posąg nadnaturalnych rozmiarów - oznajmił w zadumie. - Tybetański strażnik świątynny. Obawiam się jednak, że mamy do czynienia z falsyfikatem.

Detektywi nabrali odwagi i włączyli zabrane z domu miniaturowe latarki. Krążyli z Jimem po galerii. Jupiter dostrzegł kolejny wielki posąg.

- Niesamowity! Co to za postać? - zapytał z podziwem.

Tancerz miał aż czworo ramion i wysoki diadem na głowie; u pasa wisały odrąbane ludzkie dłonie.

- Hinduski bóg Sziwa - tłumaczył półgłosem Jim. - Niestety, to również falsyfikat.

Jupiter z uwagą przyglądał się posągowi ledwie widocznemu w półmroku.

- Dużo wiesz o sztuce Wschodu. Twierdziłeś przedtem, że się tym nie interesujesz.

- Nie jestem chyba takim nieukiem, za jakiego się uważałem - szepnął Jim. - Tata nieustannie rozprawia o sztuce. To i owo obilo mi się o uszy.

- Chętnie uzupełniłbym swoją wiedzę - oznajmił półgłosem Jupiter. - Za mało czytałem na ten temat.

- Mam pomysł - rzucił Jim. - Gdy mój ojciec wróci...

Bob zawołał ich z drugiego końca galerii.

- Jim, co o tym sądzisz? - mruknął archiwista. - Czy ta figurka również jest falsyfikatem?

Jim i Jupiter przeszli szybko przez zagraconą salę. Bob trzymał w ręku niewielką zielonkawą statuetkę z brązu przedstawiającą szamana o rogatej głowie pokrytej kosmatą sierścią!

- Szalony Demon! - krzyknął uradowany Jim, zapominając o koniecznej ostrożności. - Gratuluję znaleziska, Bob!

- Ciszej! - syknął Jupiter.

Jim znieruchomiał. Nasłuchiwali przez chwilę. W całym domu panowała cisza. Uspokojeni pochylili się nad statuetką, oświetlając ją latarkami.

- Nadzwyczajne - szepnął Bob. - Niezwykle podobna do potwora, który nas prześladowuje.

Pokryta zieloną patyną statuetka z brązu wyglądała jak miniaturowa groźnego monstrum. Rogi przypominające do złudzenia poroże jaka były gładkie i ostre. Można było policzyć włoski na kosmatej mordzie. Skośne oczy i szerokie usta pełne ostrych zębów

nadawały tancerzowi drapieżny wygląd. Wilczy łeb zwisającej z ramienia skóry groźnie szczyrzył kły. Zdawało się, że wystarczy dotknąć starannie wymodelowanych ramion i nóg, by poczuć ciepło żywego ciała.

- Popatrzcie na jego pas - szepnął Bob. - W każdym dzwonku wisi miniaturowe serce. Na korzeniach i bulwach są nawet cyzelowane w brązie drobiny ziemi. Zboża mają zaledwie pół cala, a widać każde ziarenko.

- Udało nam się! - szepnął uradowany Jim.

- Czy to aby na pewno autentyczna statuetka? - wypytywał zaniepokojony Jupiter. - Jest wyjątkowo starannie utrzymana. Starocie zazwyczaj wyglądają znacznie gorzej.

- Nie mam wątpliwości - odparł Jim. - Widziałem ten posążek setki razy. Nie ma drugiego takiego na świecie. Co za szczęście, że go odzyskaliśmy. Mój ojciec będzie wam nieskończenie wdzięczny, chłopcy!

Jupiter i Bob wpatrywali się przez chwilę w tańczącą postać mongolskiego szamana. Długotrwałe poszukiwania zostały uwieńczone sukcesem. Detektywi wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Bob wsunął figurkę pod ramię. Cała trójka ruszyła ku wyjściu.

Jim zatrzymał się nagle. Ktoś stanął w drzwiach.

- To Pete! - zawołali jednocześnie Jupiter i Bob.

- Mamy Szalonego Demona! - oznajmił z uśmiechem archiwista.

- Czyżby, mój chłopcze? Nie pójdzie wam tak łatwo - rozległ się cichy głos.

- Przepraszam, chłopaki - mruknął Pete. - Zaszedł mnie od tyłu. Nic nie słyszałem.

Zapłonęło światło. Tuż za Drugim Detektywem stał blady, czarnooki Jason Wilkes. Palce chude jak u kościotrupa ścisnęły rewolwer.

- Oddaj mi posążek, szczeniaku - rzucił mężczyzna lodowatym tonem.

Bob posłuchał go niechętnie. Wilkes z czułością popatrzył na Szalonego Demona i umieścił figurkę na stojącym obok postumencie.

- Skonfiskowałem waszemu przyjacielowi krótkofalówkę - oznajmił, pokazując chłopcom elektroniczne urządzenie. - Połóżcie swoje na podłodze.

Jim, Jupiter i Bob bez szemrania wypełnili ten rozkaz. Detektywi ukradkiem schowali do kieszeni miniaturowe latarki. Jason Wilkes tego nie zauważył lub uznał to za mało istotne.

- Idźcie przodem w głąb korytarza.

Maszerowali gęsiego przez obszerny dom. Wilkes naciskał kontakty, zapalając światło. Stanęli przed wielkimi drzwiami znajdującymi się w pobliżu kuchni.

- Otwórzcie i zejście po schodach.

Pete, który szedł pierwszy, nacisnął klamkę. Ujrzeni ginące w mroku wąskie

drewniane schody.

- Pan zostanie ze mną, Clay - mruknął Wilkes. - Na wszelki wypadek. Chyba nie muszę tłumaczyć, dlaczego. To mi ułatwi negocjacje z pańskim czcigodnym ojcem... lub innymi amatorami wiadomego arcydzieła.

Wilkes zachichotał. Strapiony Jim odprowadził ponurym spojrzeniem znikających w ciemności detektywów. Zanim chłopcy minęli połowę schodów, ciężkie drzwi zatrzęsły się z hukiem.

ROZDZIAŁ 16

Bob ratuje przyjaciół z opresji

- Co za pech! Znowu sprzątnięto nam Szalonego Demona sprzed nosa! - jęknął zrozpaczony Bob. Stali nieruchomo na wąskich schodach, gdzie panowały egipskie ciemności. - Wilkes ma nie tylko statuetkę, lecz także Jima!

- Powinienem bardziej uważać. - Pete czuł się winny. - Na swoje usprawiedliwienie mogę powiedzieć jedynie, że całkiem mnie zaskoczył. Nie słyszałem jego kroków. Miałem wrażenie, że wiedział, gdzie się ukryłem.

- Wilkes zrobi ze statuetką, co zechce. Nie zdołamy go powstrzymać - rozpaczął Bob.

- Nie poddawaj się, stary - odparł zdecydowanie Jupiter. - Musimy stąd zwać. Wyciągnijcie latarki. Trzeba się rozejrzeć.

Bob natychmiast go posłuchał. Wąski promień światła omiół ściany przylegające do schodów. Nigdzie nie było kontaktów elektrycznych.

- Zejdźmy niżej. Może tam umieszczono wyłącznik - radził Pete.

Bez pośpiechu schodzili wzdłuż muru. Stanęli w końcu na zaśmieconym klepisku. U stóp wąskich schodów też nie było kontaktu.

- Bardzo stara piwnica - stwierdził Jupiter. - Sprawdźcie pod sufitem. Może tam jest kabel, który nas doprowadzi do wyłącznika.

Chłopcy skierowali latarki ku niskiemu sufitowi. Nie było tam ani kabli, ani żarówek.

Pete opadł bezwładnie na zakurzoną skrzynkę.

- Utknęliśmy na dobre w tej norze - mruknął.

- Na domiar złego pies z kulawą nogą nie wie, gdzie jesteśmy! - dodał Bob z posępną miną.

- Jason Wilkes prędzej czy później będzie musiał nas wypuścić - powiedział ponuro Jupiter. - Zrobi to po sprzedaniu statuetki! Nie mamy przeciwko niemu żadnych dowodów. Tracimy bezcenny czas. Trzeba jak najszybciej się stąd wydostać!

Pete siedzący na zdezelowanej skrzynce oświetlił niski belkowany sufit.

- Jak chcesz tego dokonać, Juve? - rzucił z powątpiewaniem.

Wąski promyczek wydobył z mroku pokrytą kurzem wilgotną podłogę oraz solidne belki sufitu. Piwnica o kamiennych ścianach była niemal pusta. Chłopcy nie dostrzegli żadnych sprzętów ani narzędzi. Widzieli jedynie wąskie schody prowadzące do kuchennego korytarza, małe drzwi w przeciwległej ścianie, dwa niewielkie okienka umieszczone

niemal pod sufitem, stary zlew, jakieś skrzynie, kilka drewnianych zagród i niewielki zardzewiały piec ustawiony pośrodku zakurzonego pomieszczenia.

- Zawsze można znaleźć jakieś wyjście, stary. Wielokrotnie dowiedliśmy, że to prawda - pocieszył kolegę Jupiter. - Popatrzcie! O ile się nie mylę, można tędy wyjść na zewnątrz.

Krępy szef trójki detektywów uważnie oglądał malutkie drzwiczki. Nie miały zamka, tylko grubą sztabę założoną od środka. Były zabite na głucho wielkimi gwoździami. Pete smutno pokiwał głową.

- Co najmniej dwadzieścia pięć wielkich ćwieków wbitych w drzwi i futrynę - oznajmił ponuro Drugi Detektyw. - Nie mamy narzędzi, którymi moglibyśmy je podważyć.

- Poza tym - Bob zrobił krok do tyłu i zmierzył wzrokiem kamienną ścianę, w której tkwiły maleńkie drzwi. - Gdy obchodziliśmy dom, przyglądałem się uważnie ścianom, ale nie spostrzegłem żadnego wyjścia. Był tylko lity mur.

- Spróbujmy zatem wydostać się przez okno - rzucił z nadzieją Jupiter. - Zdecydowanym krokiem ruszył ku okienkom umieszczonym niemal pod sufitem. Poświecił latarką w ciemne szyby. Jedno z okien było zamknięte na zwykły haczyk!

- Pete! Bob! Przynieście skrzynkę! Tędy uciekniemy!

Pete chwycił drewniane pudło i podbiegł do kamiennej ściany. Bob wskoczył na skrzynkę. Błyskawicznie uporał się z haczykiem. Otworzył okno i... znieruchomiał.

- Kraty - jęknął z rozpaczą. - Tędy się nie wydostaniemy.

W piwnicy zapanowała grobowa cisza. Nawet Jupiterowi zrzędła mina, gdy Bob zeskoczył na cementową podłogę. Więźniowie Jasona Wilkesa gapili się ponuro na okratowane okno. Jupiter pierwszy otrząsnął się z przygnębienia. Nie należał do chłopców łatwo dających za wygraną.

- Popatrzcie na tamte drewniane zagrody! Czasami prowadzą do nich z zewnątrz metalowe pochylnie. Trzeba to sprawdzić - oznajmił Pierwszy Detektyw. Po chwili namysłu dodał: - A może znajdziemy jakiś metalowy pręt, którym będzie można poodginać gwoździe?

- Sam się rozejrzyj, Jupe - odparł Pete, ciężko opadając na skrzynkę. - Mam dość rozczarowań.

Jupiter i Bob oświetlili latarkami niskie zagrody znajdujące się przy kamiennym murze. Drewno było przegniłe. W środku detektywi znaleźli tylko pajęczyny. W ścianie nie było żadnych otworów ani metalowych pochylni do zrzucania węgla lub drewna.

- Niepotrzebnie się tak wysilamy, stary - oznajmił w końcu Bob. - Nie damy rady stąd uciec. Trzeba po prostu czekać, aż Wilkes nas wypuści. Miejmy nadzieję, że w końcu się na

to zdecyduje.

Bob podszedł do Pete'a, który siedział pod oknem, i osunął się na zakurzoną podłogę, plecami do ściany. Jupiter niełatwo rezygnował. Promień jego latarki nadal błędził po ścianach.

- Okienko jest otwarte - mruknął. - Możemy krzyczeć. Ktoś nas usłyszy. Będziemy wołać na zmianę; pięć minut co kwadrans.

- Jupe, dom stoi z dala od miasta, w odludnym wąwozie. - Nie ma tu żywego ducha. Kto przylezie na takie pustkowia?

- Nikt z wyjątkiem Szalonego Demona - odparł ironicznie Pete.

Nawet Jupiter musiał w końcu przyjąć do wiadomości, że znaleźli się w sytuacji bez wyjścia. Westchnął ciężko i usiadł na schodach. Machinalnie odgarnął stopą warstwę kurzu.

- Podłoga! - mruknął po chwili. - To zwykłe gliniane klepisko! Możemy wykopać tunel.

- Jasne, stary. - Drugi Detektyw z politowaniem kiwał głową. - Będziemy oczywiście pracować gołymi rękami. Za tydzień może się stąd wyrwiemy.

Jupiter westchnął.

- Chłopaki - przerwał nagle Bob. - Piec! Spójrzcie na ten otwór.

Ciężki żeliwny piec stał na środku niskiej piwnicy. Odchodziły od niego trzy blaszane rury: dwie mniejsze i jedna większa - dostatecznie szeroka, by zmieścić się w niej nastolatek w wieku detektywów. Jupiter skinął głową i znowu westchnął.

- Już o tym myślałem, Bob. Rury centralnego ogrzewania prowadzą do komina. Trzeba by się wspiąć na dach, a wyloty kominów są zwykle chronione mocną siatką, równie trudną do sforsowania jak kraty.

- Masz sporo racji, ale zastanów się, co to za dom - argumentował Bob, zrywając się na równe nogi. - Jesteśmy w Kalifornii. Przy budowaniu obowiązują tu inne zasady. Do paleniska dla lepszego spalania doprowadza się powietrze. Temu służą przewody wentylacyjne. Budynek jest tylko częściowo podpiwniczony. Sądzę, że przewód wentylacyjny został ułożony w ziemi pod drugą częścią domu. Prawdopodobnie ma ujście tuż nad powierzchnią gruntu.

- Jupe, Bob chyba znalazł wyjście!

Trzej chłopcy bez trudu wyrwali ze ściany zardzewiałą rurę. Otwór był dostatecznie duży, by szczupły nastolatek mógł wpełznąć do środka.

- Sprawdzę, dokąd prowadzi ten przewód wentylacyjny - zaoferował się archiwista. Bob - najmniejszy z trójki detektywów - podciągnął się bez trudu. Pete zerknął w ciemny

otwór. Dostrzegł maleńki świetlny punkcik. Bob pełził już podziemnym korytarzem, który zakręcał, układając się poziomo. Słychać było cichy rezonans blaszanych powierzchni. Po chwili rozległ się stłumiony głos archiwisty:

- Jest przejście pod domem. Przewód wentylacyjny zakręca. Chodźcie!

Pete zaproponował Jupiterowi pomoc. Korpulentny szef detektywów niespodziewanie poczerwieniał.

- Idźcie sami. Potem mnie wypuście.

Pete uśmiechnął się, by dodać koledze otuchy, i wpełził do czarnej jamy. Wkrótce uciekinierzy dotarli do metalowej klapy otwierającej się na zewnątrz. Pchnęli ją i poczuli świeże powietrze.

- Ratunku! - pisnął nagle Bob.

Ujrzeni czyjeś kolana i zerknęli w górę. Patrzyły na nich badawczo skośne czarne oczy.

ROZDZIAŁ 17

Na tropie przestępcy

Detektywi ujrzeli człowieka w granatowej bluzie z wysoką stójką. Nie nosił koszuli ani krawata. Wąskie granatowe spodnie nie miały kantów. Zagadkowy osobnik spoglądał wrogo na chłopców. Za nim stali w ciemnościach dwaj inni mężczyźni.

Detektywi rozpoznali natychmiast Waltera Quaila. Jego czarny mercedes zaparkowany był na wyboistej drodze.

- I co? - rzucił niecierpliwie skośnooki mężczyzna. - Gdzie jest Szalony Demon?

Bob i Pete wypelzli z otworu wentylacyjnego, podnieśli się i otrzepali zakurzone spodnie.

- Nie mamy pojęcia - odparł ponuro Bob. - Wilkes zabrał...

Trzeci przybysz zrobił krok do przodu, odsunął skośnookiego ponuraka i zmierzył chłopców badawczym spojrzeniem.

- Wspomniałeś o jakimś Wilkesie, młody człowieku. Masz na myśli Jasona Wilkesa?

Mężczyzna był wysoki i mocno zbudowany; miał wyrazistą twarz, siwe włosy i szerokie bary. Jego elegancki garnitur wyraźnie kontrastował ze skromnym ubraniem gościa ze Wschodu.

- Tak, proszę pana. Facet handluje dziełami sztuki - wtrącił Pete.

- Kupił Szalonego Demona od Fritza Hummera, który dostał go od Bosmana, a ten...

- Hummer? Bosman? Co tu się dzieje, do ciężkiej cholery? - Barczysty mężczyzna był wyraźnie zirytowany. - Wiesz, kto z tobą rozmawia, młody człowieku?

- Jasne! H. P. Clay, rekin w branży naftowej - wpadł mu w słowo Bob.

- Tak mnie nazywają? - H. P. Clay wybuchnął gromkim śmiechem. - Jestem normalnym przemysłowcem, synu. - Ojciec Jima wskazał na skośnookiego mężczyznę. - Oto pełnomocnik rządu Chińskiej Republiki Ludowej, pan Chiang Pi-Peng, któremu nasze władze mają przekazać Szalonego Demona. Quaila już chyba znacie.

- Tak, proszę pana - odparł uprzejmie archiwista. - Nazywam się Bob Andrews, to jest Pete Crenshaw. Nasz kolega siedzi zamknięty w piwnicy. Jeżeli...

- Zamknięty? - przerwał mu pan Clay. - Trzeba go natychmiast wypuścić.

Ruszyli ku drzwiom starego domu. Na szczęście były otwarte. Uwolniony Jupiter wytrzeszczył oczy na widok Chińczyka i Claya. Zmrużył je nieufnie, ujrawszy Quaila. Sekretarz w zabawnych binoklach zmieszał się, czując na sobie badawczy wzrok Pierwszego

Detektywa.

- Jupiter Jones we własnej osobie, jak sądzę - rzucił jowialnie pan Clay. - Nosisz osobliwe imię. Z pewnością jest bardzo rzadkie. Możesz mi wyjaśnić, co się tutaj dzieje?

Jupiter opowiedział, nie wdając się w szczegóły, jak przy pomocy Jima usiłowali odnaleźć zaginioną statuetkę.

- Jim miał rację. To cholernie delikatna sprawa. Im mniej osób o niej wie, tym lepiej. Teraz... - Barczysty przemysłowiec umilkł i rozejrzał się niespokojnie. - A gdzie Jim? Sądziłem, że jesteście tu obaj!

- Niestety, proszę pana. - Pierwszy Detektyw wyjaśnił naftowemu potentatowi, co się stało wieczorem.

- Ten łajdak trzyma mego syna jako zakładnika? A więc ma i Jima, i Szalonego Demona! - Pan Clay pobladł i zwrócił się do sekretarza: - Twierdził pan, że mój syn przebywa w tym domu wraz z chłopcami, prawda?

Walter Quail skinął głową i nerwowo zamrugał powiekami.

- Tak, szefie. Dokładnie opisał dom i jego lokalizację. Stąd do mnie dzwonił i...

- Dzwonił do pana? - przerwał Jupiter. - Dziś wieczorem? To dlatego wiedział pan, gdzie nas szukać!

- Zadzwoił przed godziną - tłumaczył Walter Quail. - Jechałem właśnie na lotnisko po szefa i pana Chianga. Uznałem, że lepiej będzie najpierw zabrać ich stamtąd, a następnie przyjechać tutaj.

- Mniejsza z tym! - przerwał zniecierpliwiony H. P. Clay. - Co powiedział Jim, kiedy do pana dzwonił, Walterze? Proszę powtórzyć słowo w słowo!

- Słusznie - potwierdził Jupiter. - Może wyczytamy coś między wierszami.

- Postaram się. - Quail zmarszczył brwi widoczne nad binoklami. - Zamierzałem właśnie jechać na lotnisko, gdy Stevens zawołał mnie do telefonu. Powiedział, że Jim chce ze mną rozmawiać. Pański syn wydał mu się bardzo zdenerwowany. Gdy podniosłem słuchawkę, zaczął trajkotać jak katarynka. Okropnie się spieszył. Powiedział, że został uwięziony w tym domu wraz z trójką chłopców. Podał mi wskazówki dotyczące położenia tego miejsca. Podobno odzyskał Szalonego Demona i ponownie go stracił. Zamierzał mi właśnie podać nazwisko człowieka, który go tu przetrzymuje, ale połączenie zostało przerwane.

- Na pewno zmylił czujność Wilkesa i popędził do telefonu - stwierdził Pete.

- Moim zdaniem Wilkes zamknął go po prostu w jednym z pokoi zapominając, że jest tam aparat telefoniczny - wtrącił Bob.

- Mniejsza z tym - mruknął zniecierpliwiony pan Clay. Krążył po ciasnej piwnicy. - Ta gadanina nic nam nie pomoże. Patowa sytuacja! Wilkes trzyma nas w szachu.

- Pański syn jest w niebezpieczeństwie, panie Clay? - rzekł cicho Chiang Pi-Peng nienaganną angielszczyzną. - Czy jego prześladowca zabrał Szalonego Demona?

- Przywłaszczył go sobie dużo wcześniej, panie Chiang - oznajmił ponuro H. P. Clay, nie przerywając wędrówki. - Nie sądzę, by Jimowi groziło poważne niebezpieczeństwo. Wilkes prawdopodobnie chce mi odsprzedać posążek za wygórowaną cenę, a biedny Jim jest zakładnikiem. Ten handlarz trzyma mnie w garści.

- Proszę pana - wtrącił Jupiter. - Mamy jeszcze inny problem.

Opowiedział pokrótce o spotkaniach z tajemniczym straszidłem.

- Prawdziwy demon? Ależ to absurd! - obruszył się pan Clay.

- Może to duch? - dodał Bob. - Duch statuetki.

- Reakcyjne brednie! - oznajmił z naciskiem Chiang Pi-Peng, lecz nie umknęło niczyjej uwagi, że chiński polityk rozgląda się niespokojnie. - Mongolskie zabobony! Bajkowe opowiadki zacofanego ludu, który musimy wyzwolić z okowów wielowiekowej ciemnoty. Nie ma na świecie żadnych duchów!

Chińczyk powiedział to głośno i zdecydowanie, ale na wszelki wypadek obejrzał się, jakby przeczuwał, że w mroku czyhają groźne widma.

- Może to szaman z krwi i kości - powiedział Jupiter. - Albo człowiek, który udaje plemiennego czarownika.

- Nieważne, czy to szaman, czy oszust - burknął pan Clay. - Sytuacja jest trudna, ale nie zamierzam dawać za wygraną. Wspólnymi siłami doprowadzimy tę sprawę do szczęśliwego końca. Dwaj chłopcy pójdą ze mną na górę, by przeszukać dom. Trzeci z was sprawdzi teren wokół domu z Quaiem i panem Chiangiem.

Bob i Pete towarzyszyli milionerowi, a Jupiter udał się do wąwozu na wieczorny patrol.

Około północy Clay i dwaj detektywi zrezygnowali z dalszych poszukiwań i przyłączyli się do pozostałej trójki. Dom sprawiał wrażenie opuszczonego. Nie natrafili na żaden ślad Jasona Wilkesa i Jima. Uczestnicy nocnego patrolu również powrócili z niczym.

- Obawiam się, że nic więcej nie możemy zdziałać. Muszę wrócić do siebie i czekać na sygnał od tego łobuza - stwierdził zrezygnowany pan Clay. - Nie mam pojęcia, gdzie ich szukać.

- Proszę pana, to nie jest dobry pomysł - oznajmił stanowczo Jupiter, wychodząc z garażu. - Wilkes nie może być daleko. Tu stoi jego auto. Jestem tego pewny, sprawdziłem

rejestrację. Nie wygląda na to, by miał inny samochód. Furgonetka Jima została na drodze. Dokądkolwiek poszli, musieli iść piechotą! Rozdzielmy się i raz jeszcze przeszukajmy teren!

Bob z Quaiem przetrząsnęli zarośla po obu stronach drogi. Pan Chiang z Jupiterem sprawdzili teren na tyłach domu, a pan Clay i Pete ruszyli w głąb wąwozu. Krążyli bez pośpiechu wokół starego budynku, zataczając coraz szersze koła.

- Jupe! - rozległo się nagle wołanie Pete'a. - Bob!

Po chwili cała szóstka poszukiwaczy zebrała się w jednym miejscu. Od budynku dzieliło ich prawie sto jardów. Wąwóz był tam wąski i ciemny. Drugi Detektyw oświetlił duży kamień, a potem zniszczony płot.

- Jim pamiętał o kredzie! - ucieszył się Bob.

Przy blasku miniaturowej latarki ujrzeli jasne znaki zapytania wyraźnie odbijające od skaty i drewna; niczym skautowskie strzałki kierowały poszukiwaczy w głąb jaru.

ROZDZIAŁ 18

Napaść Szalonego Demona!

- Szukajcie następnego znaku zapytania! - niecierpliwił się Jupiter.

Bob trafił na kredowe bazgroły dwadzieścia jardów dalej, w głębi jaru.

- Nie ma wątpliwości! - zawołał Jupiter. - Wilkes zabrał Jima i statuetkę do kryjówek leżącej gdzieś w wąwozie.

- Skąd ta pewność? - rzucił z niedowierzaniem pan Clay.

- Pytajniki to nasz umówiony sygnał. Postanowiliśmy w ten sposób znaczyć trasę marszu - wyjaśnił Pete.

- Można je narysować w mgnieniu oka, ukradkiem, nie zwracając niczyjej uwagi - dodał Jupiter.

- Daliśmy Jimowi kawałek kredy i ustaliliśmy system znaków na wypadek, gdyby trzeba się było rozdzielić - stwierdził na koniec Bob.

- W takim razie, dlaczego tkwimy tu jak kolki w płocie? - zdenerwował się pan Clay. - Szukajmy mego syna!

Pete jako najlepszy tropiciel poprowadził grupę poszukiwaczy. H. P. Clay deptał mu po piętach. Dalej szli gęsiego dwaj pozostali detektywi, a Quail i pan Chiang stanowili tylną straż. Pete znalazł wkrótce na kamieniach następne znaki. Poszukiwacze maszerowali w głąb wąwozu.

- Wiecie, co tam jest?

- Pewnie tylko krzaki i wertepy. Nawet polna droga już się skończyła - odparł Bob. - Może znajdziemy opuszczony dom farmerów albo starą chatę poszukiwaczy złota. Nie sądzę, żeby ktoś tam nadal mieszkał.

Znaki zapytania prowadziły szóstkę poszukiwaczy w głąb zwężającego się wąwozu. Grunt stał się bardziej kamienisty. Jar ciągnął się dość stromo pod górę, a jego ściany mające w mroku sprawiały wrażenie coraz wyższych. Na ścieżce przybywało wybojów. Cierniste gałęzie czepiały się ubrań. Do wąwozu nie docierało światło księżyca. Jedyne źródło światła stanowiły miniaturowe latarki. Wędrowcy potykali się o kamienie. Nie mogli odszukać kolejnego znaku!

- Znaleźliście jakąś wskazówkę? - rzucił zniecierpliwiony pan Clay.

- Rozdzielamy się - zdecydował Jupiter. - Niech każdy szuka na własną rękę. Bądźmy w zasięgu głosu, żeby w razie potrzeby szybko się zebrać. W nocy łatwo zablądzić.

Po dwudziestu minutach pan Chiang znalazł kolejny pytajnik w odległości stu jardów. Poszukiwacze ruszyli w głąb jaru, nieco na prawo.

- Prawdopodobnie Wilkes kluczy, by zmylić ewentualną pogoń - wyjaśnił Pete. - Przypuszczam, że następny znak znajdziemy na lewo od głównego szlaku.

Jego przewidywania wkrótce się sprawdziły. Wilkes był przebiegły, Jim zdołał go jednak przechytrzyć i nadal znaczył drogę.

Uszli już pół mili wąwozem, którego ściany pięły się teraz wysoko w górę. Nagle Walter Quail krzyknął głośno.

Wszyscy przystanęli. Zamykający kolumnę sekretarz siedział na dużym kamieniu, trzymając się za kostkę lewej nogi.

- To chyba zwichnięcie - syknął, zaciskając zęby. - Potknąłem się o kamień. Przykro mi, szefie.

- Może pan chodzić? - zapytał H. P. Clay.

- Tak, ale bardzo powoli. Będę opóźniać marsz. Ruszajcie beze mnie. Jim na pewno potrzebuje pomocy!

- Zgoda, Walterze. Idź swoim tempem i nie forsuj nogi.

Reszta pomaszerowała dalej wśród dzikich zarośli. Pan Chiang zamykał pochód. Posuwali się teraz wolniej, bo grunt był kamienisty, a kolczaste zarośla coraz gęstsze. Wąski jar niespodziewanie skręcił w lewo i rozszerzył się. Powtórzyła się sytuacja sprzed kilku minut. Wędrowcy nie mogli znaleźć kolejnego znaku zapytania.

- Trudno - rzucił Pete. - Znowu trzeba się rozdzielić. Idźmy powoli w głąb wąwozu, aż ktoś zauważy...

Jakaś postać wyłoniła się z mroku. Tajemniczy przybysz szedł w ich kierunku.

- Jim? - krzyknął pan Clay.

Wędrowiec zatrzymał się nagle. Stał bez ruchu, nie mówiąc ani słowa.

- To ty, Jim? - zawołał powtórnie milioner.

Zagadkowy osobnik skręcił w prawo. Detektywi oświetlili go promieniami latarek. Ujrzeli odzianego w czerń bruneta o bladej twarzy. Mężczyzna trzymał w ręku niewielką torbę. Nagle zaczął uciekać.

- To Jason Wilkes! - wrzasnął Jupiter.

- Co on niesie? - zawołał Pete.

- Zatrzymać go! - rzucił pan Clay.

Jason Wilkes zaczął się wspinać po stromym zboczu. Uczestnicy wyprawy ruszyli biegiem, próbując zająć go z boku.

Niespodziewanie Wilkes zniknął.

Piątka wędrowców przedzierała się w ciemności przez gęste zarośla. Wypatrywali uciekiniera lub jego śladów.

- Tu jest przejście! - zawołał nagle Bob.

- Boczna odnoga wąwozu! - krzyknął Pete.

Rzucili się ku wylotowi małego jaru zarośniętego rachitycznymi drzewami. Odnoga była krótka, a ściany wąwozu wysokie i strome. Nie było stamtąd wyjścia!

Wszyscy znieruchomieli.

Jason Wilkes czaił się u stóp urwistego zbocza parowu. Oczy mu błyszczały jak ślepią schwytanego w pułapkę drapieżnika. Był otoczony ze wszystkich stron.

- Co zrobiłeś z moim synem, łajdaku? - krzyknął pan Clay. Handlarz dzieł sztuki rozglądał się gorączkowo na wszystkie strony, jakby wciąż szukał wyjścia. Jego prześladowcy zbliżali się wolno. Chłopcy oświetlili latarkami ciemną postać nikczemnika stojącego pod kamienną ścianą. Przypominał wielkiego czarnego skorpiona gotowego porazić jadem lekkomyślną ofiarę. Oczy mu płonęły.

- Trzymaj się ode mnie z daleka, bo więcej nie zobaczysz swego synka! - burknął lekceważąco Wilkes. - Właśnie zamierzałem się z tobą skontaktować. Zaoszczędziłeś mi wysiłku.

- Nie rozmawiam z porywaczami! - rzucił pogardliwie Clay.

- Twój syn i ci smarkacze włamali się do mego domu. - Wilkes parsknął śmiechem. - Trzymałem twego syna pod kluczem, żeby go oddać w ręce policji. Mam prawo bronić swojej własności, Clay. Chłopak trafi do aresztu... chyba że się dogadamy.

- Spójrzcie na torbę! Założę się, że Wilkes ma w niej statuetkę - krzyknął Pete.

- To moja własność! Została mi skradziona - oznajmił Clay.

- Nie miałem o tym pojęcia - odparł z uśmiechem Wilkes. - Powiedzmy, że figurka wpadła mi w ręce przypadkiem. Należy mi się znaleźne.

- Ten człowiek ma statuetkę Szalonego Demona? - zapytał pan Chiang, wpatrując się w torbę, którą ścisnął mężczyzna o wyglądzie krwawego wampira. - W takim razie musimy przystać...

Oślepiający blask rozświetlił ciasny jar.

Wszyscy cofnęli się i zasłonili oczy rękoma.

Słup dymu uniół się nad stromym zboczem, pod którym stał Jason Wilkes.

Nagły ryk ogłuszył piątkę wędrowców oraz handlarza dzieł sztuki. Rogate monstrum o skośnych błyszczących ślepiach przypominało do złudzenia statuetkę Szalonego Demona.

Potwór zaczął dziwaczny taniec na wysokiej skale. Poruszał się wolno jak w transie. Dzwonki brzęczały, kości grzechotały w niesamowitej ciszy.

- Szalony Demon Batu-chana dostał się w ręce świętokradcy! - głuchy krzyk dudnił wśród kamiennych ścian wąwozu.

Jason Wilkes drżał jak liść. Rzucił torbę pod nogi swych prześladowców. Ogarnięty panicznym lękiem gapił się na potwora.

- Zabierzcie to! - jęknął. - Nie chcę mieć z tą sprawą nic wspólnego!

Pan Clay pobladł, ale posłał straszdyłu wyzywające spojrzenie.

- Kimkolwiek jesteś, nie waż się...

- Milcz! - zawył potwór. - Przedmiot dotknięty świętokradczą ręką musi być zniszczony, by jego duch odzyskał wolność.

Kosmaty stwór wznosił ramiona, a następnie prawą ręką wskazał leżącą na ziemi torbę. Buchnął płomień. Pojawiły się kłęby gęstego dymu. Torba płonęła.

- Duch posągu wraca do Wielkiego Chana!

Na skałach ponad jarem pokazał się znowu płomień i dym, który spowił dziwaczne monstrum. Pochłonał je nocny mrok.

Szalony Demon zniknął.

ROZDZIAŁ 19

Twarz za oknem

Obłok dymu nad krawędzią wąwozu rozwiął się powoli.

- Potwór... zniknął! - wykrztusił Pete.

- Rozpłynął się... w powietrzu - dodał zdjęty strachem Bob.

- Bzdura! - oburzył się H. P. Clay. - To na pewno jakaś kuglarska sztuczka!

Chiang Pi-Peng stał jak skamieniały, spoglądając na rzednącą chmurę dymu.

- Czyżby duchy naprawdę istniały? - szepnął niepewnie.

- Prymitywne sztuczki i nic więcej! - odparł zirytowany milioner. - Wystarczy zwykły rzutnik oraz tuba, by osiągnąć zamierzony efekt. Parę fajerwerków i świec dymnych i mamy iluminację jak się patrzy. To pewnie robota tego drania!

Milioner odwrócił się do skulonego na ziemi Jasona Wilkesa.

- Gadaj, łobuzie! Co się dzieje z moim synem? Gdzie Szalony Demon?

- Popatrzcie! - rozległ się nagle krzyk Pete'a.

Drugi Detektyw gapił się jak urzeczony na dymiące strzępy upuszczonej przez Jasona Wilkesa torby.

- Pańskim zdaniem mieliśmy do czynienia z iluzją? Może i to nazwie pan halucynacją? - zapytał, wskazując nadpaloną tkaninę i niewielki metalowy przedmiot leżący na ziemi.

Poszukiwacze zbiegli się w jedno miejsce. Ujrzeni bezkształtny kawałek stopionego brązu.

- Statuetka! - krzyknął Bob.

- Raczej pozbawiona wartości bryłka metalu - powiedział Pete.

- Ten łajdak zniszczył arcydzieło! - lamentował błady pan Clay.

- Stopiło się w ogniu! - dodał zrozpaczony Chiang Pi-Peng. - Straciliśmy bezpowrotnie nasz skarb!

Jupiter ukląkł na ziemi i odsunął nadpaloną torbę. Dotknął pozbawionej kształtu bryły.

- Ledwie ciepła - mruknął w zadumie. - Płonąca tkanina nie mogła wytworzyć temperatury koniecznej do stopienia brązu.

- Mimo to figurka rozpłynęła się jak masło na patelni - odparł Pete. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. W końcu odezwał się Chiang Pi-Peng.

- Tamten... duch... - zaczął niepewnie - twierdził, że statuetka musi ulec zniszczeniu z

woli Batu-chana, władcy Złotej Ordy i wnuka Czyngis-chana.

Zapadła cisza.

- Jesteś pewny, że to posążek Szalonego Demona, Jupiterze? - zapytał zdławionym głosem pan Clay.

Pierwszy Detektyw skinął głową.

- Widać jeszcze róg i łydkę. Środkowe partie częściowo się zachowały. Można dostrzec ziarno w zbożu przytroczonym do pasa... - Jupiter umilkł niespodziewanie, zamrugał powiekami i pochylił głowę, by dokładniej obejrzeć zniszczony posążek.

- Skarb przepadł! - lamentował Jason Wilkes. - Miałem w rękach bezcenne arcydzieło! Straciłem majątek!

- Statuetka istniała ponad siedemset lat, a przepadła w jednej chwili - stwierdził filozoficznie pan Chiang i odszedł na bok.

- Przepadła? Cóż, trudno - oznajmił stanowczo pan Clay. Szybko wziął się w garść. - Nasza rozpacz nie przywróci jej do istnienia. Najważniejsze jest teraz uwolnienie mego syna! Wilkes...!

- Nic mu nie będzie! - oznajmił ponuro handlarz dzieł sztuki. - Zresztą, czy to ważne? Zaprowadzę pana do niego. Proszę nie zapominać, że wtargnął do mego domu. Miałem prawo trzymać go pod kluczem.

- Jeszcze zobaczymy, jak policja zakwalifikuje tę sprawę - odparł Clay. - Proszę nas zaprowadzić do Jima.

Jason Wilkes ruszył pierwszy, a milioner deptał mu po piętach. Wyszli z bocznej odnogi i ruszyli w głąb wąwozu. Poszturchiwany przez Claya przewodnik maszerował w stronę gór.

- Popatrzcie! Co to jest? - zawołał nagle Bob, wyciągając rękę.

Pojawił się przed nimi jakiś ciemny kształt. Gdy podeszli bliżej, usłyszeli cichy jęk. Walter Quail siedział na ziemi, trzymając się za głowę.

- Walterze! - zawołał Clay. - Co się panu stało?

- Szedłem tak szybko, jak mogłem - odparł słabym głosem sekretna, - Przywlokłem się tutaj, ale już was nie słyszałem. Zacząłem nasłuchiwać i zdecydowałem się skrócić w prawo. Nagle ktoś do mnie podszedł. Poczulem ból. Ocknąłem się dopiero przed chwilą. I zaraz dobiegły mnie wasze głosy.

Szczupły, niski sekretarz dotknął ręką obolałej głowy i skrzywił twarz. Binokle zwisały żałośnie na czarnej wstążce. Do eleganckiego garnituru przyłgnęły suche liście. Na materiale pojawiły się smugi brudu. Mężczyzna próbował otrześć ubranie, ale gwałtowny

ruch wywołał kolejny atak bólu.

- Może pan opisać napastnika?

- Nie - odparł Quail. - Szczerze mówiąc, w ogóle go nie widziałem. Poczulem jedynie czyjaś obecność. Następnie padł cios i straciłem przytomność.

- Duchów nie można zobaczyć ani usłyszeć - oznajmił z powagą Chiang Pi-Peng - chyba że same ukażą się zwykłym śmiertelnikom.

- Duchy? - rzucił niespokojnie Quail.

Clay opowiedział mu, co zaszło w głębi wąwozu.

- Statuetka się stopiła? - krzyknął z niedowierzaniem sekretarz. Przygryzł wargę. - Sądzi pan, że tamten... stwór mnie zaatakował?

- Być może - odparł milioner. - Zresztą to już przeszłość. Trzeba uwolnić Jima. Chodźmy. Da pan radę?

- Spróbuję - odparł Quail.

Pomocne dłonie wyciągnęły się do sekretarza, który wstał i kulejąc ruszył za resztą grupy. Popychany przez milionera Jason Wilkes szedł w głąb jaru. Od razu spostrzegł kredowe znaki pozostawione na kamieniach.

- Teraz rozumiem, jak mnie wytropiliście - mruknął.

- Jim i chłopcy okazali się sprytniejsi niż pan - odparł Clay.

Wędrowcy minęli kolejny zakręt. Wyrosła przed nimi niewielka chata słabo widoczna w mroku.

- Chłopak jest w środku - oznajmił Jason Wilkes. - Włos mu z głowy nie spadł. Zamknąłem go tu na pewien czas. Nic więcej.

Pan Clay popędził do chaty. Drzwi były zabarykadowane od zewnątrz. Pete i Bob pomogli milionerowi odsunąć ciężką belkę i wielki skobel. W chwilę później drzwi stanęły otworem. Chłopcy oświetlili latarkami wnętrze chaty.

- Zostaw mnie w spokoju! - usłyszeli drżący, ale buntowniczy głos.

Jim Clay tkwił skulony w rogu chaty, z kolanami pod brodą. Spoglądał ku drzwiom rozszerzonymi ze strachu oczyma stworzenia złapanego w pułapkę. We wzroku młodego mężczyzny była jednak i wola walki. Zerwał się na równe nogi, ściskając gruby kij.

- Jim, synku! - zawołał pan Clay, rzucając się ku niemu.

- Tata? - Jim zamrugał powiekami. Oczy przywykłe do mroku reagowały gwałtownie na niespodziewaną jasność. - Bob! Pete! Schwytaliście tego drania?

- Mamy go - zapewnił Clay, kładąc synowi rękę na ramieniu.

- Twoje znaki nas tu doprowadziły - dodał z uśmiechem Bob.

- Spodziewałem się, że je zauważycie, ale prawie straciłem nadzieję, gdy Wilkes zamknął mnie na cztery spusty i odszedł, zabierając Szalonego Demona... Co ze statuetką? Odzyskaliście ją?

Pan Clay smutno pokręcił głową.

- Niestety, synu. Obawiam się, że jest stracona na zawsze.

- To dziwny... potwór ją zniszczył - wyjaśnił Bob.

- Stopiła się. Zostało z niej trochę brązu - mruknął Pete.

- Duch Szalonego Demona powrócił do Batu-chana, władcy Złotej Ordy - dodał śpiewnie pan Chiang.

- Sądzicie, że monstrum... naprawdę istnieje? Może to widmo szamana? Czy potwór naprawdę oznajmił, że musi zniszczyć statuetkę, by uwolnić jej ducha? - wypytywał Jim.

- Zdaniem Jupitera... - zaczął Bob. Urwał i zaczął się rozglądać po chacie. - Gdzie Jupe?

Pete odwrócił się i wyjrzał za próg.

- Chyba go tu nie ma - oznajmił pan Clay. - Zapewne...

- Tam, za szybą! - krzyknął Walter Ouail. - Patrzcie!

Bob i Pete skierowali latarki w stronę okna umieszczonego w tylnej ścianie chaty.

Kosmate monstrum gapiło się na nich skośnymi, czerwonymi ślepiami i szczyrzyło ostre zęby.

- Potwór wrócił! - krzyknął pan Clay.

Szkaradna morda niespodziewanie opadła na bok. W ciemnej ramie okiennej pojawiła się puciołowata twarz Jupitera.

- Spokojnie. Nie ma powodu do obaw - oznajmił Pierwszy Detektyw.

Chłopiec zniknął. Za ścianą rozległy się jego kroki. Wszyscy spoglądali na drzwi. Po chwili stanął w nich krępy szef agencji detektywistycznej.

Trzymał w ręku przerażającą kosmatą maskę, a także pas straszidła z dzwoneczkami oraz kościanymi grzechotkami.

- Potwór nie mógł wrócić, bo go nie ma - oznajmił Jupiter. - A posążek Szalonego Demona nadal istnieje!

ROZDZIAŁ 20

Zdemaskowanie demona

- Co ty opowiadasz, Jupiterze? - dopytywał się pan Clay. - Gdzie znalazłeś tę maskę?

- W krzakach za chatą, proszę pana - odparł detektyw, bez pośpiechu wchodząc do izby. - Są tam również pozostałe elementy stroju, a ponadto czerwone żaróweczki podłączone do baterii, dzięki którym ślepia potwora lśniły czerwonym blaskiem, oraz podręczne laboratorium chemiczne pozwalające na wytwarzanie płomieni i dymu w dowolnych ilościach. Pomysł znakomity, a zarazem łatwy do urzeczywistnienia dla człowieka obeznanego trochę z chemią.

Jupiter popatrzył na pana Claya i dodał:

- Sądzę, że wystarczy rzut oka na maskę i strój szamana, by potwierdzić, iż pochodzą z pańskich zbiorów.

- Istotnie, Mam w piwnicy magazyn, w którym przechowuję eksponaty o mniejszej wartości. W swoim czasie kupiłem sporo okazów mongolskiego rękodziela, ale do tej pory nie miałem czasu ich skatalogować ani należycie wystawić. Mniejsza z tym. Co cię skłoniło do myszkowania na tyłach chaty?

- Od początku trudno mi było uwierzyć, że prześladowuje nas prawdziwy duch. Analizowałem kolejne spotkania ze straszycłem i w końcu zacząłem się domyślać, czemu służy cała ta mistyfikacja. Najpierw zakładałem, że autentyczny szaman przybył z Mongolii, by odzyskać dla swego ludu statuetkę Szalonego Demona, ale zmieniłem zdanie, kiedy zjawił się tutaj pan Chiang. Zgodził się pan odesłać mongolskie arcydzieło na Daleki Wschód, a zatem nie było powodu, by szaman nadal się o nie upominał. - Przysadzisty detektyw pokręcił głową. - Uznałem, że szalone wybryki potwora muszą mieć inne uzasadnienie. Zaufałem przecuciom i postanowiłem trochę się tu rozejrzeć.

- Mów wyraźnie, o co ci chodzi, Jupe! - rzucił niecierpliwie Pete.

- Mam na myśli rzekome zniszczenie bezcennej statuetki. Szalony Demon wcale nie stopił się w magicznym ogniu. Wszyscy padliśmy ofiarą sprytnego oszusta.

- Przecież to się stało na naszych oczach! - Pan Chiang z niedowierzaniem pokręcił głową. - Widzieliśmy, jak...

- Owszem. Widzieliśmy zniszczoną figurkę, ale nie był to słynny zabytek. Na pastwę płomieni wydano jego kopię!

- Kopię? - mruknął z powątpiewaniem Bob. - Skąd wiesz? Nie jesteś znawcą sztuki

orientalnej.

- Co ty gadasz, Jupiterze? - wtrącił Jim. - Jak możesz być taki pewny? W przeciwieństwie do ciebie trochę się znam na wschodnim rękodziele, lecz nie wypowiadam pochopnie swoich opinii.

- Co ty na to, Jupiterze? - zapytał H. P. Clay, mrużąc oczy.

- Jestem przekonany, że mam rację. To kopia została zniszczona. Bardzo dobra kopia. Moim zdaniem wykonał ją facet w czarnej pelerynie. Pete miał rację mówiąc, że biedaczysko nie wygląda na złodzieja.

- Tak mi się wydawało - przytaknął Drugi Detektyw. - Pamiętam, jak o tym rozmawialiśmy.

- Prawdopodobnie jest mało znanym rzeźbiarzem - ciągnął Jupiter. - Wykonał kopię, przywiózł swoje dzieło do Rocky Beach i tu je zgubił! W rezultacie wpadliśmy na trop nietypowego złodzieja.

- Na jakiej podstawie twierdzisz, że zniszczona statuetka była falsyfikatem? - wypytywał Jim. - Gdy trafiliśmy na nią w domu Wilkesa, byłem przekonany, że to autentyk.

Jupiter pokiwał głową.

- Kopia była doskonała, ale rzeźbiarz wykonał ją na podstawie fotografii. Nie mógł przyrzeć się oryginałowi bez wzbudzania podejrzeń. Na zdjęciu pewne detale były słabo widoczne i dlatego popełnił spory błąd!

- Błąd? - powtórzył pan Clay.

- Tak, proszę pana - powiedział Jupiter. Oczy mu zabłyśły. - Z braku dobrego zdjęcia podczas wykonywania niektórych elementów posługiwał się opisem statuetki, zapewne tym samym, który czytaliśmy na głos. Pamiętasz, Bob?

- Tak. Wspomniano tam o masce z rogami jaka oraz szamańskim pasku, do którego przytroczone były dzwonki, grzechotki, pęki traw i zboża oraz korzenie...

- Owszem - przerwał Jupiter. - Trawa, korzenie, zboże! W angielskim opisie na określenie tego ostatniego użyto słowa "corn"!

- Pierwsze znaczenie to kukurydza, prawda? - wtrącił pan Chiang, otwierając szeroko oczy.

- W rezultacie facet wyrzeźbił u pasa miniaturową kolbę kukurydzy! Pamiętam, Jupiterze, jak podczas oględzin stopionej figurki powiedziałeś, że jedno ziarno pozostało całe - wtrącił Clay.

- Tak, proszę pana! Drobnny błąd stanowił bardzo istotną wskazówkę. Powinienem to zauważyć podczas rekonesansu w domu Wilkesa, lecz zabrakło mi spostrzegawczości.

Dopiero gdy ujrzałem jedno maleńkie ziarno kukurydzy starannie cyzelowane w brązie, zrozumiałem całą prawdę!

- Jaką prawdę, stary? - jęknął bezradnie Pete.

- Autentyczny demon nie nosi u pasa kolby kukurydzy, tylko kłos. Książka o sztuce orientalnej znana i nam, i rzeźbiarzowi została opublikowana w Anglii. Brytyjczycy posługują się rzeczownikiem "corn" na oznaczenie zboża, głównie pszenicy. Dla Amerykanina to samo słowo określa kukurydzę. Anglicy używają w tym znaczeniu dawnego indiańskiego wyrazu "maize".

- To indiańskie słowo? - mruknął zamyślony pan Clay.

- Tak, proszę pana - odparł Jupiter. - Warto przypomnieć, że Europejczycy i Azjaci nauczyli się uprawiać kukurydzę dopiero po odkryciu Ameryki przez Kolumba. Statuetka Szalonego Demona została wykonana około roku 1240, czyli niemal trzysta lat wcześniej! Autentyczna rzeźba powinna mieć u pasa kłos pszenicy, a nie kolbę kukurydzy. Figurka, która uległa zniszczeniu, była falsyfikatem!

Przez dłuższą chwilę w chacie panowała cisza.

- Po co ktoś zadał sobie tyle trudu? - odezwał się wreszcie pan Clay. - Dlaczego zamówił kopię? W jakim celu przebierał się za demona?

Jupiter zwrócił się do Waltera Quaila.

- Czy ma pan coś do powiedzenia na ten temat?

- Ja... Chciałem... Nie dowiedcie się ode mnie...

- Kopia! - wykrzyknął oskarżycielsko Chiang Pi-Peng z groźnym błyskiem w oku. - Oszustwo! Kpiny z mego kraju! Falsyfikat podstawiony w miejsce arcydzieła!

- Ma pan rację - przytaknął spokojnie Jupiter. - Chodziło o to, by figurka w ogóle nie została oddana Chińczykom. Pan Chiang jest politykiem, a nie znawcą sztuki, więc łatwo dałby się oszukać, lecz w jego ojczyźnie nie brakuje ekspertów. Kopia musiała być zniszczona na oczach świadków, aby uznano za oczywiste, że Szalony Demon przestał istnieć.

- Quail! - ryknął H. P. Clay. - Odpowie mi pan...

- To nie Quail wszystko zorganizował, chociaż od początku wiedział, co się święci - przerwał Jupiter i dodał niespodziewanie: - Prawda, Jim?

- O co ci chodzi? - burknął opryskliwie Clay junior. - Chyba... oszalałeś!

- Jim? Twierdzisz, że mój syn... - Pan Clay z niedowierzaniem gapił się na Jupitera.

- Tak - oznajmił ponuro młody detektyw. - Jim, rzekomy duch Szalonego Demona. Poleciał również wykonać kopię. Powinienem być się tego domyślić, gdy spotkaliśmy Quaila

w rezydencji. Pański sekretarz był naprawdę zdziwiony, gdy usłyszał o kradzieży statuetki. Problem w tym, że przed chwilą widział posążek Szalonego Demona. Na wieść o naszym przybyciu Jim ukrył figurkę i udawał, że padła łupem złodzieja. Obawiał się, że w przeciwnym razie szybko odkryjemy fakt istnienia dwu statuetek.

- Gadasz bzdury! - krzyknął Jim Clay. - Mam alibi! Przez cały wieczór byłem zamknięty! Jupiter pokręcił głową.

- Kiedy myszkowałem za chatą, zauważyłem obluzowaną deskę. Po odegraniu roli Szalonego Demona wróciłeś do swego więzienia i udawałeś bezbronną ofiarę. Znalazłem również to - Jupiter potrząsnął trzymanym w ręku pasem szamana. Z niewielkiej kieszeni wypadł na klepisko zapomniany kawałek kredy.

- Przebrałeś się w strój szamana i postanowiłeś dokładniej oznaczyć trasę, ale zapomniałeś wyrzucić kredę!

Jim Clay toczył wokół błędnym wzrokiem.

- Zrobiłem to dla ciebie, tato! - wykrztusił, patrząc błagalnie na ojca. - Chciałem, żeby Szalony Demon pozostał w twoich rękach! Bez entuzjazmu oddawałeś go Chińczykom!

Dwudziestolatek bezradnie opadł na klepisko. Pan Clay smutno pokiwał głową.

ROZDZIAŁ 21

Pan Hitchcock odczuwa pokusę

Kilka dni później Trzej Detektywi siedzieli przy stole w salonie pana Hitchcocka. Znany reżyser i pisarz w milczeniu studiował raport Boba dotyczący rozwiązanej ostatnio zagadki. W końcu pan Hitchcock uniósł głowę.

- Czyżby Jim Clay wciągnął także Jasona Wilkesa w swoją intrygę, której celem było wyprowadzenie was w pole i zachowanie statuetki? - zapytał.

- Początkowo nie zamierzał nikogo wtajemniczać - odparł Jupiter. - Wedle pierwotnego planu kopia statuetki miała być wręczona panu Chiangowi jako oryginał, a następnie ukradziona oraz zniszczona na jego oczach. Gdy włączyliśmy się do gry, Jim uznał, że wykorzysta nas jako świadków rzekomego unicestwienia arcydzieła.

- Biedny chłopak się przeliczył - stwierdził przyjaciel trójki detektywów, mrugając do chłopców porozumiewawczo.

- To prawda, Jim popełnił błąd! - przyznał Jupe, parszając śmiechem. - Kilkakrotnie zmieniał decyzję odnośnie roli, którą mieliśmy zagrać mimo woli w jego przedstawieniu. Zawiódł się jednak w swoich rachubach.

- Możesz to rozwinąć?

- Gdy wraz z filigranowym złodziejem o mysiej twarzy szukał kopii Szalonego Demona, próbował nas przestraszyć i zniechęcić do zajmowania się tą sprawą. Nie zdołał odnaleźć statuetki i wówczas uznał, że warto się nami posłużyć. Ilekroć zbliżaliśmy się do celu, grał rolę potwora, by odstraszyć konkurencję i zyskać sposobność zabrania figurki.

- Spodziewał się odzyskać Szalonego Demona, kiedy Bosman wyjawiał, że sprzedał go Fritzowi Hummerowi - dodał Pete.

- Dlatego zamknął nas w kabinie jachtu - przypomniał Bob.

- Ciekawe! - mruknął pan Hitchcock. - Jak tego dokonał?

- Gdy byliśmy w obozowisku włóczęgów, ruszył przodem twierdząc, że podjedzie furgonetką pod chatę Bosmana. Tymczasem pognął co sił w nogach do telefonu. Poleciał rzeźbiarzowi i złodziejowi w jednej osobie, aby zjawił się na przystani i wciągnął nas w pułapkę. Daliśmy się zwabić na jacht pana Claya. Nim jego syn przybył do sklepu, złodziej przekonał się naocznie, że statuetki już tam nie ma. Jim postanowił nas uwolnić i ponownie zachęcić do szukania kopii, bez której skomplikowany plan spaliłby na panewce. Śledząc Hummera, trafiliśmy do Jasona Wilkesa. Jim był przekonany, że ma w ręku wszystkie atuty.

Postanowił znowu się nami posłużyć. Nie wiedział, że tego wieczoru jego ojciec przybył z panem Chiangiem do Rocky Beach. Jim zaproponował, że odwiezie nas do domu na obiad. W ten sposób pozbył się niewygodnych świadków. Spotkał się z Wilkesem i zaproponował mu okrągłą sumkę za udział w osobliwym spektaklu. Daliśmy się nabrać jak małe dzieci. Wpadliśmy w ręce Wilkesa, który zamknął nas w piwnicy. Jim zadzwonił do Quaila i kazał mu pilnować, żebyśmy nie zwiali przed czasem. Pojechał do wąwozu, oznaczył marszrutę i przygotował się do odegrania roli Szalonego Demona. Statuetka miała być zniszczona na naszych oczach.

- W torbie znajdował się stopiony wcześniej posążek - dodał Pete. - Jim pokieroszował go, używając zwykłej spawarki.

- Gdy odkryłem, że zniszczono kopię - ciągnął Jupe - domyśliłem się od razu, kto za tym stoi. Jim był sprawcą całego zamieszania. Miał dość czasu, by ściągnąć nam na kark złodzieja w czarnej pelerynie, który na jachcie doskonale wywiązał się ze swego zadania. Gdy pojechaliliśmy na obiad, zdążył przekonać Wilkesa. Kiedy Szalony Demon ukazał się Pete'owi pod domem tego handlarza, Jima z nami nie było. Obiecał śledzić Hummera. Mieliśmy z nim kontakt jedynie przez krótkofalówkę. Co więcej, to Jim nalegał, żeby każdy z nas zabrał kawałek kredy.

- Twierdził również, że nie zna się na sztuce orientalnej, a w domu Wilkesa zrobił nam prawdziwy wykład - przypomniał Bob.

Reżyser pokiwał głową.

- Bardzo sprytnie. Wychwyciliście drobne błędy i doszliście po nitce do kłębka. Jaką rolę odegrał w tej sprawie Walter Quail? Skoro wiedział, co się święci, dlaczego nie zrobił nic, by powstrzymać Jima?

- Miał związane ręce - odparł Jupiter. - Jest bardzo oddany panu Clayowi. Chciał oszczędzić jego synalkowi kłopotów i nieprzyjemności. Widział Jima w towarzystwie mizernego złodzieja i dlatego postanowił śledzić dziwnego kurdupla. Chciał powstrzymać syna chlebobdawcy, a zarazem uchronić go od przykrych konsekwencji tej osobliwej afery. Dlatego nie mógł nikogo zawiadomić, na co się zanoszą. Próbował na własną rękę przeszkodzić Jimowi w urzeczywistnieniu diabelskiego planu.

- Chłopak był zatem przekonany, że Quail nie zawiadomi policji ani innych władz - podsumował pan Hitchcock. - Ten smarkacz nie miał żadnych skrupułów.

- Raczej nie zdawał sobie sprawy, że źle postępuje - odparł Bob. - Wiedział, że pan Clay niechętnie rozstaje się z posążkiem Szalonego Demona, i chciał mu oszczędzić przykrości. Ojciec Jima też nie jest bez winy. Powinien nauczyć syna, jak należy postępować.

- Chyba masz rację - przyznał pan Hitchcock. - A zatem wszelkie usiłowania szajki spelzły na niczym z powodu jednego ziarenka kukurydzy. Gdyby wasi znajomi pilniej uczyli się historii, mogliby osiągnąć cel. Czy złodziej i rzeźbiarz w jednej osobie został już schwytany?

- Tak - odparł Pete. - Przyznał się do wykonania kopii.

- Co będzie dalej z tą bandą?

- Clay nie zamierza wszczynać oficjalnego dochodzenia - oznajmił Bob. - Na jego prośbę pan Chiang również z tego zrezygnował. Clay zażądał od syna, by popracował jakiś czas za granicą przy szybach naftowych jako zwykły robotnik. Chłopak będzie dostawał zwykłą pensję i ani grosza więcej!

- Nauczy się, że forsa nie spada z nieba, a dla osiągnięcia celu trzeba harować w pocie czoła - dodał Jupiter.

- Komendant Reynolds postanowił też sprawdzić, jakie grzeszki mają na sumieniu filigranowy rzeźbiarz oraz Jason Wilkes - oznajmił Bob.

- Prawdopodobnie obaj będą się musieli gęsto tłumaczyć - stwierdził pan Hitchcock. - Na jedno pytanie nie umiem znaleźć odpowiedzi. Domyślam się, jakich substancji chemicznych użył Jim Clay, by wzniecić ogień i rozsnuć zasłonę dymną, ale nie mam pojęcia, jak udało mu się z dużej odległości podpalić torbę, w której była kopia statuetki.

- Umieścił w niej zdalnie sterowany zapalnik - wyjaśnił Jupiter. - To profesjonalista. Studiuje chemię i elektronikę.

- Miejmy nadzieję, że w przyszłości znajdzie lepsze sposoby wykorzystania zdobytej wiedzy - mruknął reżyser. - A co z autentyczną statuetką Szalonego Demona? Czy była w bezpiecznym miejscu? Pewnie została już wysłana do Chin.

- Przeleżała kilka dni w piwnicy pana Claya - odparł Pete i sięgnął po niewielką czarną walizeczkę. - Sądziliśmy, że chciałby pan zobaczyć to arcydzieło, nim pan Chiang wywiezie je z kraju.

Otworzył kuferek, wyjął dziwaczną statuetkę i postawił ją na stole. Pokryty zielonkawą patyną szalony tancerz balansował na jednej nodze. Zastygł od wieków w osobliwej pozie.

- Niesamowite! - wykrzyknął słynny reżyser. - Pomyśleć tylko, że ta statuetka należała przed wiekami do chana Złotej Ordy. Zabierzcie to cudo, nim ulegnę pokusie, by je sobie przywłaszczyć!

Chłopcy uśmiechnęli się porozumiewawczo i umieścili posążek mongolskiego szamana w czarnej walizeczce. Pożegnali się i wkrótce odjechali.

Gdy pan Hitchcock został sam, na jego twarzy pojawił się zagadkowy Uśmiezek. Przyszło mu do głowy, że nawet Szalony Demon nie wygrał z Trzema Detektywami. Zastanawiał się, czy jego młodzi i sprytni przyjaciele trafią kiedyś na godnego przeciwnika. Może następnym razem!